WARSZAWA
ROK IV

GRUDZIEŃ 1946 R.

Nr 7

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 15 zł

T. SWIECKI

Demagogia wyborcza

(P. S. L. a wybory)

Zarówno sytuacja wewnętrzna — skompromitowanie się sanacji i endecji przez flirt polityczny przed wojną z faszyzmem, jak i sytuacja zewnętrzna — zwycięstwo we wszystkich państwach po wojnie radykalnych elementów społecznych — uniemożliwiają reakcji w Polsce ofensywę i zmuszają ją do defensywy. Nie stać w obecnej sytuacji reakcję na walkę otwartą. Tym nie mniej, nikt orientujący się w życiu politycznym nie może się łudzić—reakcja nie poddała się i prowadzi intensywną podjazdową i partyzancką walkę z nową demokratyczną rzeczywistością w Polsce.

Przejawem tej partyzantki są nietylko bandy N.S.Z.-owskie po lasach, nie mniej intensywna partyzantka prowadzona jest na terenie propagandy. Partyzantka propagandowa jest bodaj bardziej niebezpieczna niż tamta z bronią w ręku — więcej szerzy zamętu i bardziej utrudnia stabilizację nowych stosunków. Korzystając ze słabego wyrobienia politycznego naszego społeczeństwa, z jego pochopności do nieprzemyślanych reakcji uczuciowych, wroga dzisiejszej rzeczywistości, propaganda podsyca te uczuciowe reakcje, szerząc wieści i interpretacje zachodzących zjawisk niezgodne z prawdą, wieści i interpretacje obliczone na budzenie oporu przeciwko wysiłkom rozbudowania i utrwalenia nowych stosunków politycznych i gospodarczych w Polsce.

Do najzręczniejszych bodaj chwytów tej propagandy należy szerzenie przekonania, że walka z blokiem wyborczym partii, reprezentujących interesy szerokich mas świata pracy, jest walką w obronie zasad demokracji. Zajadłość, jaką wykazuje re-

akcja w walce z ideą bloku wyborczego stronnictw demokratycznych, jest z punktu widzenia jej interesów najzupełniej zrozumiała. Sejm ma ustabilizować nowy układ sił społecznych, nowy układ stosunków politycznych i gospodarczych. Blok wyborczy daje gwarancję zapewnienia decydującej przewagi czynnikom politycznym, które będą miały dobrą wolę stabilizację tę przeprowadzić. W tych warunkach trudno dziwić się reakcji, że czepia się każdej możliwości osłabienia jednolitego frontu stronnictw demokratycznych. Trudno się też dziwić, że cała reakcja powitała z entuzjazmem stanowisko zajęte przez P.S.L. w sprawie bloku. Niewątpliwie rozbicie bloku stwarza pewne szanse dla reakcji, jeżeli narazie nie obalenia, to przynajmniej zatamowania tempa dokonywującej się przebudowy. A na to tylko reakcja dzisiaj pozwolić sobie może, oczekując lepszej dla siebie koniunktury, dla wystąpienia z otwartą przyłbicą do walki z osiągnięciami demokracji w Polsce powojennej. W tych warunkach trudno dziwić się, iż reakcja usiłuje narzucić społeczeństwu sugestię, że najważniejszą sprawą dla Polski jest przeprowadzić wybory w sposób dający reakcji największe szanse.

W istocie rzeczy wybory takie jakich życzyłoby sobie P.S.L., salwując interesy reakcji leżą wyłącznie w partyjnym interesie tego stronnictwa. W tej sytuacji bowiem może P.S.L. liczyć na głosy nietylko swoich członków ale i całej reakcji w Polsce. Krótko mówiąc P.S.L. chce zdyskontować niezwykle wygodną dla siebie sytuację i pochwycić władzę w swoje ręce. Nie chce być partią współrządzącą, a monopartią jaką był B.B.W.R. Z tego też względu można i należy na drapowanie się P.S.L. w togę obrońcy demokracji patrzeć jak na tanią demagogię, przesłaniającą właściwy cel z rozmachem przy współudziale reakcji prowadzonej kampanii.

Wbrew sugestii, którą chce nam narzucić P.S.L. i popierająca go prasa reakcyjna, w chwili obecnej, kiedy daleka jeszcze jest stabilizacja stosunków wewnętrznych i zewnętrznych, sprawę czy tak, czy inaczej przeprowadzone będą wybory niepodobna uważać za najważniejszą, za najważniejsze bowiem należy uważać utrwalenie bytu niepodległego państwa polskiego na zewnątrz i utrwalenie w życiu wewnętrznym osiągniętych zdobyczy świata pracy. Wybory takie czy inne, powołanie takiego czy innego ciała prawodawczego nie można uważać za cel, tylko za środek, tak, jak każdą instytucję trzeba i wybory i przyszły sejm traktować jako narzędzie kształtowania treści życia wewnątrz państwa. Istotę demokracji stanowi nie to w jaki spo-

sób tę treść się kształtuje, ale to przede wszystkim jaka jest ta treść, więc jakie są stosunki gospodarcze i społeczne. Wybory chociażby najbardziej liberalne, któreby doprowadziły do obalenia osiągniętych zdobyczy świata pracy, byłyby aktem antydemokratycznym, bo godzącym w interesy ogromnej większości społeczeństwa. Fałszuje się istotę demokracji, kiedy widzi się ją wyłącznie w formach politycznego życia, w tym jak odbywają się wybory. To tylko demokracja dnia wczorajszego, demokracja mieszczańska zacieśniała w ten sposób pojęcie demokracji gwoli swoim interesom. Przed wojną mieliśmy pięcioprzymiotnikowe wybory, przez długi czas, do 1925 roku nawet względnie uczciwe i liberalne, czy rzeczywistość, którą kształtował tak powołany Sejm, mógł robotnik i chłop uważać za demokratyczną, zgodną z interesami świata pracy, stanowiącego ogromną większość społeczeństwa? Rząd Hitlera powołany został w drodze liberalnych wyborów, czy dlatego należałoby uważać go za demokratyczny? Czyżby tragiczne dla robotników i chłopów doświadczenia związane z dziejami życia politycznego, po poprzedniej wojnie niczego miały nas nie nauczyć? Musimy liczyć się poważnie z tym, że taniej demagogii demokratycznej chwyta się dziś reakcja w jej akcji dywersyjnej, więcej, tej demagogii chwyta się nawet faszyzm. Przecież w prasie niemieckiej ukazały się artykuły, domagające się w imię zasad demokratycznych uprawnienia niemieckiej partii narodowo - socjalistycznej. Tej taniej demagogii demokratycznej musimy przeciwstawić jedynie słuszne, proste chłopskie i robotnicze rozumienie demokracji. Polska będzie państwem demokratycznym, nie wtedy, kiedy odbywać się będą w Niej wybory tak a nie inaczej, ale wtedy, kiedy utrwalone zostaną reformy, zapewniające sprawiedliwy podział wytwarzanych dóbr materialnych i duchowych.

I to jest wbrew sugestiom Pana Mikołajczyka sprawa najważniejsza dla chłopów, robotników i całego świata pracy.

Któż może mieć wątpliwości, że nie o demokrację chodzi tym wszystkim żywiołom reakcyjnym, które popierają P.S.L. w jego akcji dywersyjnej przeciwko blokowi stronnictw demokratycznych? Przecież znana jest powszechnie przedwojenna wroga demokracji działalność tych żywiołów, przecież i dziś ich oblicze ideowe nie budzi wątpliwości.

Któż w tych warunkach może mieć wątpliwości, że w wyborach typu, przy którym upiera się pan Mikołajczyk, widzi cała reakcja ostatnią szansę dojścia do władzy. Cała reakcja usiłuje z wyborów uczynić dla siebie jak najdogodniejszą odskocznię

w walce z zdobyczami świata pracy w dziedzinie gospodarczej i politycznej. W tej walce reakcja wyznaczyła panu Mikołajczykowi i P.S.L. określoną rolę — rolę konia trojańskiego — mającego z wewnątrz rozsadzić zwartość i spoistość obozu świata pracy. I pan Mikołajczyk z wytrwałością i zapałem godnym lepszej sprawy tę rolę spełnia.

Trzeba żeby wszyscy szczerzy, uczciwi i rozumni demokraci zdawali sobie z tego jasno sprawę, trzeba żeby zdawali sobie sprawę, że polityka, którą chciałby narzucić demokracji pan Mikołajczyk, byłaby polityką samobójczą i że tylko jak najbardziej zwarty i jednolity blok stronnictw demokratycznych może przeszkodzić reakcji wygrać wybory przeciwko demokracji.

LEON WUDZKI

Lenin i Rewolucja Październikowa

W 29 rocznicę

Rozpoczęty silnym startem zwycięski marsz imperializmu niemieckiego z roku 1914 traci stopniowo tempo, aby wreszcie przeobrazić się w ostateczną klęskę 1918 roku.

Na gruzach zmęczonej wojną i wyczerpanej gospodarczo Europy zaczyna wrzeć. Fala wstrząsów rewolucyjnych i wojen domowych łatwo się rodzi, piętrzy i najczęściej rozbija o silne tamy starych form, których nie zdolna jeszcze jest przezwyciężyć. Socjal-demokraci, kołysani polityką łagodnych przemian i wychowywani w kulcie dla wiekowej tradycji, niezdolni byli wyzwolić się spod jej ciężaru, zerwać z nią i rzuciwszy hasła rewolucyjne w masy, porwać je do walki o nową, socjalistyczną rzeczywistość. Wyżywali się w socjalizmie, ale tylko na katedrach; kiedy przyszedł moment i możliwości realizowania socjalizmu, wprowadzania go w życie — zabrakło im odwagi. Zaciężyły na ich umysłach i sparaliżowały wolę upiory tradycyjnej przeszłości. A gdy wybucha rewolucja październikowa, miast siedzieć cicho i przynajmniej przypatrywać się biernie i czekać wyników — podnoszą krzyk i mobilizują przeciwko niej opinię. I nie tylko opinię.

Nasza „czerwona" kamaryla z Piłsudskim na czele, rozhuśtana marzeniami o wielkich czynach, o Polsce od morza do morza, wsiada na chrobrego konika mocarstwowości i, wykorzystując kłopoty i zmagania się z wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem proletariatu rosyjskiego, urządza harce po szerokich stepach Ukrainy. Ale mit o wielkości bierze w łeb. Zamiast Polski „od morza do morza", zdobywa się guza i miast oblężenia Moskwy, następuje „cud nad Wisłą", którym trzeba się dzielić ze śpieszącą z pomocą burżuazją francuską.

Czując się zagrożonym w swych podstawach, kapitalizm międzynarodowy jawnie już i czynnie ingeruje i stwarza rozwijającej się pomyślnie rewolucji coraz to cięższe zapory. Ale na próżno. Zdeterminowani i świadomi swych celów rewolucjoniści rosyjscy walą na swej drodze wszelkie tamy i przy akompaniamencie wrzasku, przekleństw i drwin burżuazji wszystkich krajów, utrwalają dyktaturę proletariatu.

Opędzając się na wszystkie strony od wściekle atakującego wroga, znoszą monarchię, stanowość, prywatną własność, ucisk narodowości, nierówność kobiet, uprzywilejowanie religii, słowem uwalniają naród od tradycyjnych treści właściwych średniowieczu i kapitalizmowi. I utrzymują się.

W konsekwentnym zastosowanu metod Marksa o dyktaturze proletariatu i drodze ku socjalizmowi, świadomi są trudów i niepowodzeń, jakie ich czekają. Ale, jakże możnaby obejść się bez niepowodzeń i błędów w takim dla całych dziejów świata nowym dziele, jak stworzenie niewidzianego dotąd typu ustroju państwowego! Nieugięcie walczyć będziemy o naprawienie swych niepowodzeń i błędów, o ulepszenie swego bardzo i to bardzo dalekiego od doskonałości, stosowania w życiu zasad radzieckich. Mamy jednak prawo szczycić się i szczycimy się tym, że przypadło nam w udziale szczęście **zapoczątkowania** budowy Państwa Radzieckiego, zapoczątkowania przez to nowej epoki w dziejach świata, epoki panowania **nowej** klasy, uciskanej we wszystkich krajach kapitalistycznych i wszędzie zdążającej do nowego życia, do zwycięstwa nad burżuazją, do dyktatury proletariatu, do wyzwolenia ludzkości z jarzma kapitału i od wojen imperialistycznych" (Lenin. Dzieła t. II s. 422).

Mimo, zdawałoby się fizycznych niemożliwości, pod wodzą garstki zdeterminowanych rewolucjonistów i przy pomocy słabo jeszcze liczebnie rozwiniętego proletariatu, porwany zostaje cały naród, który śmiało rwie więzy z przeszłością i staje do wznoszenia nowej rzeczywistości społecznej.

Ale zacofanie gospodarcze i niedorozwój przemysłowy Rosji, a w związku z tym i świadomość ludów Związku Radziec-

kiego, nie są sprzyjającymi czynnikami w pracy nad wznoszeniem fundamentów ekonomicznych pod nowy ustrój społeczny. W tym akcie właśnie pozytywnego budownictwa okresu porewolucyjnego, władze sowieckie napotykają na ciężki opór, wiekami działającej i przenikającej w krew tradycji. Historii nie da się przeskoczyć, działając na przekór jej prawom. Nie da się też skoczyć bezpośrednio z feodalizmu do socjalizmu, nie mając ku temu, bo nie można mieć, odpowiedniej podstawy ekonomicznej. Wszelkie tego rodzaju próby muszą wytworzyć chaos i przybierać kierunek wsteczny.

Lenin zawsze czujny i szybko zmieniający taktykę w obliczu zmieniających się faktów obiektywnych, nigdy nie wahał się przyznać do błędów, ujawniających się na tle niepowodzeń i wprowadzać gruntownej korekty. Umiał czytać historię i rządzące nią prawa. I w tym był wielki.

Po czterech latach od wybuchu Rewolucji Październikowej zdecydowany jest obrać inną drogę.

„My, których uniosła fala entuzjazmu, my, którzyśmy rozbudzili z początku ogólno-polityczny, potem wojenny entuzjazm ludowy, uważaliśmy, że bezpośrednio na tym entuzjazmie zrealizujemy równie wielkie (i ogólno-polityczne, i wojenne) zadania ekonomiczne. Uważaliśmy — lub może słuszniej byłoby powiedzieć: — przypuszczaliśmy bez należytego obrachunku, — że przy pomocy bezpośrednich rozkazów państwa proletariackiego zorganizujemy produkcję państwową i państwowy podział produktów w sposób komunistyczny w kraju drobno-chłopskim. Życie ujawniło nasz błąd. Okazało się, że niezbędny jest szereg stopni przejściowych: kapitalizm państwowy i socjalizm, aby przygotować—przygotować pracą długiego szeregu lat—przejście do komunizmu Nie bezpośrednio na entuzjazmie, lecz przy pomocy entuzjazmu, zrodzonego przez Wielką Rewolucję na osobistym interesie, na zainteresowaniu osobistym, na zasadzie rachunku gospodarczego bądźcie łaskawi zbudować najpierw mocne kładki, prowadzące w kraju drobno chłopskim poprzez kapitalizm państwowy do socjalizmu; w inny sposób nie zbliżycie się do komunizmu, w inny sposób nie doprowadzicie dziesiątków milionów ludzi do komunizmu. Tak powiedziało nam życie. Tak powiedzał nam obiektywny bieg rozwoju rewolucji" (Lenin. Dzieła t. II str. 425).

Bieg rewolucji powiedział wreszcie, że trzeba przejść do nowej polityki ekonomicznej, bo „osobiste zainteresowanie podnosi produkcję; nam zaś przede wszystkim i za wszelką cenę potrzeba powiększenia produkcji".

Lenin przez dwadzieścia kilka lat, utrzymując naczelne stanowisko w Partii, walczącej z niezmiernymi trudnościami i nieustannie studiując i przetwarzając rzeczywistość, nigdy nie kapitulował w momentach porażki czy niepowodzenia. Tych, którzy upadali na duchu pocieszał: „Nie jęczcie, towarzysze, zwyciężymy napewno, bo mamy słuszność". Był skromny, skromnością mas robotniczych, nigdy nie chełpił się, nie upajał zwycięstwem. Głęboka troska o losy rewolucji i przyszłe losy nowego ładu społecznego, wyrobiły w nim dar błyskawicznej orientacji i genialnego przewidywania mających nastąpić wypadków. Obserwował i dużym zaufaniem darzył zawsze czujny instynkt klasy robotniczej. Gdy w roku 1921 przeprowadzano czystkę partii od naleciałości koniunkturalnych, zalecił oprzeć się na opinii i wskazaniach „bezpartyjnej masy proletariackiej" w ocenianiu ludzi należących do partii. I, w wielu wypadkach, zależało od tej opinii pozostawienie lub usunięcie z Partii Komunistycznej członka tej Partii.

O nikim chyba nie napisano tyle oszczerstw, nikogo chyba nie obrzucono taką warstwą błota, wszystkim co plugawe, nędzne, kłamliwe, oraz na nikogo nie rzucano się z taką furią nienawiści jak na Lenina. Było to zrozumiałe. Nikt jak on i dzieło, które prowadził — Rewolucja Październikowa — nie był tak groźny w swej potędze dla kapitalizmu. Gdy inni w starych ramach gospodarki kapitalistycznej pragną się wygodnie urządzić i w tym celu niewygodną im teorię socjalistyczną naginają tchórzliwie dla własnych interesów, posługując się pod tym względem całą masą półśrodeczków — Lenin gardzi paliatywami i do celu zdąża prosto i przebojem.

Według teorii Marksa procesy, jakie odbywać się będą w okresie dojrzewania i koncentracji kapitalizmu, wpłyną między innymi na kulturę i silny wzrost świadomości klasy robotniczej. W chwili przewrotu proletariat będzie już dość uświadomiony politycznie, aby ująć w swe ręce władzę dyktatorską i poprowadzić do socjalizmu.

Leninowi zarzucano, że nie czekając aż się zakończy proces dojrzewania kulturalnego mas, wyprzedził, wbrew logice przewidywań, proces ten, ujęciem władzy politycznej i pchnął naród, który nie ma do tego odpowiedniego podłoża ekonomicznego na drogę do socjalizmu.

Zapomniano tylko, że bez przesłanek, jakie wytworzyły się pod koniec pierwszej wojny światowej, ujęcie władzy byłoby wogóle niemożliwe. Z drugiej strony, gdy się rozpoczęła rewolucja w Rosji — kraju o przewadze elementu chłopskiego, do przewidzenia było, że na czoło ruchu rewolucyjnego wysunie

się proletariat i jego awangarda. Awangardą tą była Partia, na czele której stał Lenin. Partia o wyraźnym, marksistowskim obliczu, o nieugiętej, bezkompromisowej i rewolucyjnej woli działania. Robić jej z tego powodu zarzut, że ujęła władzę i dąży do przekształcenia życia społecznego w Rosji, to tak, jakby ktoś robił zarzut starożytnym Rzymianom, że zamiast posługiwać się starymi studniami, przystąpili do budowy akwaduktów, nie znając dokładnie praw Newtona.

Jeśli do wprowadzenia socjalizmu potrzebny jest wysoki poziom kulturalny, to wcale nie znaczy, że rewolucjonistom, jako awangardzie klasy robotniczej, nie wolno ująć władzy politycznej wówczas, kiedy następują warunki sprzyjające temu. Byłoby to jawnym nonsensem, a pożądany ustrój sprawiedliwości społecznej pozostawałby na zawsze w sferze pożądań. Natomiast ujmując władzę w każdych warunkach, mają możliwości przyspieszenia procesu przemian ekonomicznych w kierunku pożądanym.

„Aby stworzyć socjalizm — powiadacie — potrzebna jest cywilizacja. Doskonale. A dlaczego nie wolno nam było z początku stworzyć u siebie takich przesłanek cywilizacji, jak wypędzenie obszarników i wypędzenie kapitalistów z Rosji, i dopiero później rozpocząć pochód ku socjalizmowi? W jakich to książkach przeczytaliście, że niedopuszczalne są lub niemożliwe tego rodzaju odmiany zwykłego porządku historycznego?" (Lenin. Dzieła, t. II, s. 530).

I rzeczywiście w jakich to książkach. Bo jeśli „marksiści" twierdzą, że droga Lenina to droga wbrew teorii Marksa, to muszę zaznaczyć, że pojmują tę teorię zbyt jednostronnie i zbyt upraszczają oraz naginają jej sens, przepuszczając ją przez pryzmat własnych odczuć i sądów.

Otóż Karol Marks daleki jest od myśli, że walkę rewolucyjną należy podejmować tylko wówczas, gdy zwycięstwo jest stuprocentowo pewne.

W liście do przyjaciela z dnia 17.IV.1871 r. znajdujemy taką wypowiedź K. Marksa:

„Kształtowanie historii świata byłoby rzeczą bardzo wygodną, jeśliby rozpoczynano walkę wyłącznie pod warunkiem absolutnie pomyślnych widoków. Z drugiej znów strony, miałaby charakter nader mistyczny, jeśliby „przypadkowość" nie odgrywała w niej żadnej roli. Te przypadkowości znowuż stanowią część składową ogólnego procesu przebiegu zjawisk i są znowu kompensowane przez inne przypadkowości. Jednakże przyspieszenie lub opóźnienie (wydarzeń) zależy w znacznej mierze od

takich „przypadkowości", do których zalicza się i „przypadek" charakteru osób, które wysunęły się od początku na czoło ruchu" (S. 86).

W innym znów liście z dnia 12 kwietnia 1871 r. K. Marks miast przesłankami ekonomicznymi tłumaczyć przyszłe losy Komuny paryskiej, uzależnia ją od wysiłków i poświęceń bohaterskich Paryżan, którzy jeśli ulegną, to będzie to tylko winą ich niezdecydowania i „dobroduszności" w działaniu. Gdyby jednak nawet Paryż uległ, uważa zryw jego za konieczny i celowy, chociażby dlatego, że „jest najwznioślejszym czynem naszej partii od czasu powstania czerwcowego" (K. Marks. Pisma Niewydane, s. 85).

Te wypowiedzi Marksa, jak zresztą i wiele innych w tym duchu, mogą nam posłużyć nie tylko jako należyty komentarz do jego dzieł, ale zarazem jako wyjaśnienie i usprawiedliwienie dla całokształtu działalności Lenina. Jego interpretacja Marksa była najtrafniejsza, nie tylko dlatego, że teorię Marksa mógł konfrontować z tworzonymi przez siebie faktami realnymi i wyciągnąć stąd gotowe wnioski, ale może i dlatego, że wypływała u nich obydwóch z tych samych przesłanek: z bezwzględnego oddania się sprawie człowieka i jego prawdzie. Obydwaj obdarzeni „przypadkiem charakteru" i zdolnością posługiwania się prawami życia społecznego potrafili rozbudzić drzemiące w masach siły, ująć je w pewne zwarte łożyska i nadawszy im odpowiedni rytm, skierować w określonym celu. „Lenin i Marks — to dwie wielkie i koncentryczne postacie, działające w sferze, zakreślonej przez starszego z nich". (Barbusse).

Dla milionów ludzi idee ich były drogowskazem do wyzwolenia z nędzy bytu materialnego i duchowego i do wyzwolenia wogóle całej ludzkości z chaosu ekonomicznego i związanych z tym ciągłych walk i wojen. I dlatego przyszłość należy do nich. Bernard Shaw witając Lenina „jako największego męża stanu Europy" nie wątpi „że nastąpi dzień, w którym w Londynie obok posągu Washingtona stanie posąg Lenina". I nie tylko w Londynie — cały świat będzie go sławił i jego dzieło.

Nasz stosunek do Związku Radzieckiego nie może się tylko opierać na chciwej kalkulacji kupieckiej i polityce obłudnych handlarzy kapitalistycznego świata. Nasz stosunek musi wypływać z głębokich zasad ideologicznych — z wiary w socjalizm i jego urzeczywistnienie, słowem czynników, które dały impuls Rewolucji Październikowej. Głęboko moralna treść tej rewolucji tkwi w tym, że była pierwsza, że była protagonistką zrywu szerokich mas ku socjalizmowi i tym samym, ku urzeczywistnieniu

dążeń i tęsknot klasy robotniczej całego świata. „Dzieło to zaczęli5my. Kiedy mianowcie, w jakim terminie, jakiego narodu proletariusze doprowadzą to dzieło do końca — jest to sprawa nieistotna. Istotne jest, że lody zostały złamane, że droga jest otwarta, kierunek wskazany". (Lenin t. II—424).

W tym sens i na tej płaszczyźnie winien się kształtować nasz stosunek do Związku Radzieckiego.

DR. ST. A. MAJEWSKI

Problematyka rewolucji w świetle dowodów historycznych

II

W nowym centrum ruchów rewolucyjnych wytworzyły się warunki szczególnie sprzyjające powstaniu nowej teorii i taktyki rewolucyjnej. „Około pół wieku"—pisze Lenin — postępowa myśl Rosji szukała słusznej teorii rewolucyjnej, śledząc z podziwu godną gorliwością i starannością każde ostatnie słowo Europy i Ameryki w tej dziedzinie. Marksizm — jako jedynie słuszną teorię rewolucyjną, przyswoiła sobie Rosja, ucząc się go w teorii, wyprobowując w praktyce, zestawiając go z doświadczeniami Europy. Z powodu przymusowej emigracji, Rosja rewolucyjna posiadała w końcu XIX wieku tak bogate stosunki międzynarodowe i tak dużą znajomość form i teorii ruchu rewolucyjnego, jak żaden kraj na świecie. Rewolucjonizm rosyjski przeszedł piętnastoletnią praktykę (1903—1917), która pod względem bogactw doświadczenia nie ma sobie równej na całym świecie. W ciągu tych 15 lat doświadczenie rewolucyjne objęło najróżnorodniejsze formy ruchów — legalnego i nielegalnego, podziemnego i jawnego, „kółkowego" i masowego, parlamentarnego i terrorystycznego.

Z tych różnorodnych doświadczeń własnych i gruntownych rozważań zachodnio-europejskiej myśli rewolucyjnej wy-

rosła teoria rewolucji Lenina [1]). Teoria ta rozprawia się gruntownie zarówno z syndykalizmem jak i reformizmem. Widzieliśmy wyżej, że syndykalizm uznał strajk powszechny za jedyną broń proletariatu. Doświadczenie jednakże pokazało, że zorganizowanie strajku powszechnego tylko w zupełnie wyjątkowych warunkach udawało się. Z istoty strajku wynikało, że jako broń jedyna nie może on doprowadzić do obalenia panującego ustroju. Z tych powodów zarówno powszechny długotrwały strajk, jak również myśl obalenia przy jego pomocy ustroju, traciły cechy rzeczywistości i usuwały się w daleką przyszłość, jako nieokreślony fantastyczny mit. W praktyce więc syndykalizm uzupełniał tę swoją oderwaną od rzeczywistości praktykę rewolucyjną za pomocą action directe, czyli systemu indywidualnych aktów terrorystycznych. W ten sposób okrężną drogą syndykalizm zbliżył się znowu do anarchizmu: zetknął się on z anarchizmem także w kwestii stosunku do państwa. Negując zasadniczo wszelką formę państwowości, głosił on hasło zniszczenia państwa wogóle w jednym akcie rewolueyjnym, niejako z dziś na jutro. Rozprawa Lenina z anarcho-syndykalizmem nie przedstawiała wielkich trudności. Wsteczność bowiem tego ruchu rzucała się w oczy: w kwestii głównego zadania rewolucji proletariackiej był on nawrotem do utopizmu, a w sprawie metod walki cofał się na stanowisko drobnomieszczańskiego terroru indywidualistycznego.

Bardziej skomplikowana była jego rozprawa z reformizmem Przeważna część jego wnikliwej i druzgocącej krytyki poświęcona jest reformizmowi. Zadanie to o tylę było ułatwione, że zmiana poglądu rewolucyjnego na kompromisowy nigdzie nie została teoretycznie uzasadniona. Marks i Engels dowodzili przy pomocy zasadniczych argumentów konieczności rewolucji, ilekroć zaś z pewną dyskrecją i wstrzemięźliwością o niej mówili, nigdy ani tej dyskrecji, ani tej wstrzemięźliwości nie uzasadniali. Z ich strony było to zrozumiałe, ich rezerwa była tylko czasowym wstrzymaniem się od sądów w związku z analizą doświadczenia historycznego. Ale godny uwagi jest fakt, że teoretycy reformizmu, odczucając bez żadnych zastrzeżeń i warunków rewolucję, nie próbowali uzgodnić tego swego stanowiska z założeniami materializmu dziejowego, mi-

[1]) Teorie te wyłożył Lenin szczególnie w następujących pracach: „Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej"; „Imperjalizm jako najwyższe stadium kapitalizmu" i „Państwo a rewolucja" (nauka marksizmu o państwie, a zadania proletariatu podczas rewolucji). Wszystkie te prace ukazały się w tłumaczeniu polskim: W. Lenin, Dzieła wybrane tomy I-II. Moskwa 1941.

mo, że wielu z nich uważało się w dalszym ciągu za marksistów. Ich quasi uzasadnienia polegały na opacznej egzegezie poszczególnych wypowiedzi klasyków materializmu dziejowego, na pomijaniu niewygodnych ich wypowiedzi. Zrobili oni z nauki Marksa nieszkodliwy dogmat i uproszczony kanon, wyjaławiając jej istotną treść i przytępiając jej ostrze rewolucyjne.

Pierwsze więc zadanie Lenina polegało na przywróceniu nauki Marksa i Engelsa do jej autentycznej formy. W tym celu przypomniał on szereg bardzo istotnych rozumowań, dotyczących rewolucji. W „Anty-Dühring" Engelsa można znaleźć następującą wypowiedź: *) „O tym, że przemoc odgrywa w historii inną jeszcze rolę, aniżeli szatańską, mianowicie rolę rewolucyjną, że jest ona, według Marksa, akuszerką każdego starego społeczeństwa, brzemiennego nowym porządkiem, że przemoc jest narzędziem, za pomocą którego ruch społeczny toruje sobie drogę i łamie skamieniałe, obumarłe formy polityczne — o tym wszystkim ani słowa u pana Dühringa. Wzdychając i jęcząc, dopuszcza on zaledwie możliwość użycia przemocy dla obalenia eksploatatorskiej gospodarki, choć czyni to z żalem, albowiem każde zastosowanie przemocy demoralizuje, jego zdaniem, tego, kto jej używa. I to mówi, nie bacząc na wysoki poryw moralny i ideowy, który bywa następstwem każdej zwycięskiej rewolucji. Mówi to w Niemczech, gdzie starcie gwałtowne, do którego wszak lud może być zmuszony, miałoby przynajmniej tę dodatnią stronę, że wytrzebiłoby tego ducha służalczości, którym przesiąknięta jest niemiecka świadomość narodowa od czasu poniżenia wojny trzydziestoletniej".

Powyższa pochwała rewolucji nie jest odosobnionym porywem Engelsa, nie jest żadną deklamacją, ani żadnym wybrykiem polemicznym. Niezbędność systematycznego wychowania mas przez wpajanie w nie właśnie takiego poglądu na gwałtowną rewolucję, leży u podstaw całej nauki Marksa i Engelsa

Dalej Lenin przypomina, że w „18 Brumaire'a Ludwika Bonapartego", Marks w ten oto sposób podsumowuje wyniki rewolucji 1848 — 1851: „...Ale rewolucja działa gruntownie. Znajduje się ona jeszcze w przejściu przez czyściec. Spełnia ona swe dzieło metodycznie. Do 2 grudnia 1851 (tj. do zamachu stanu Ludwika Bonapartego) ukończyła ona połowę swojej przygotowawczej pracy, teraz kończy drugą połowę. Doprowadziła najpierw do doskonałości władzę parlamentarną, ale poto,

---

*) Cytaty z pism Marksa i Engelsa przytaczamy podług prac Lenina

aby móc ją obalić. Teraz, kiedy to osiągnęła, doprowadza do perfekcji władzę wykonawczą, daje jej najczystszy wyraz, izoluje ją, przeciwstawia ją sobie jako jedyny zarzut **w celu skoncentrowania przeciw niej wszystkich sił burzących** *). A gdy rewolucja ukończy tę drugą połowę swej przygotowawczej pracy, porwie się ona ze swego miejsca i zawoła triumfująco: „dobrze ryjesz ziemię stary krecie".

„Ta władza wykonawcza swoją olbrzymią organizacją biurokratyczną i wojskową—ze skomplikowaną i misterną maszyną państwową, z półmilionowym zastępem urzędników obok półmilionowej armii, ten potworny organizm-pasożyt, oplątujący niby siecią całe ciało społeczeństwa francuskiego, wciskający się we wszystkie jego pory, powstał w epoce despotycznej monarchii w czasie upadku feudalizmu, ze swej strony przyspieszając ten upadek. Pierwsza rewolucja francuska rozwinęła centralizację, a jednocześnie także zakres, atrybuty i siły pomocnicze władzy państwowej. Napoleon doprowadził tę maszynę państwową do doskonałości, monarchia Burbonów i monarchia lipcowa nie dodały do niej nic, prócz większego podziału pracy. Wreszcie republika parlamentarna okazała się w swej walce przeciw rewolucji zmuszona wraz z środkami represji zwiększyć centralizację władzy państwowej. **Wszystkie przewroty udoskonalały tę maszynę zamiast ją złamać** *). Partie, które kolejno walczyły o władzę, uważały zagarnięcie tego ogromnego gmachu państwowego za główną zdobycz zwycięstwa".

Z obserwacji rewolucji 1871 roku, z analizy usiłowań, osiągnięć, niepowodzeń i katastrofy komunardów paryskich, Marks wysnuł niezmiernie doniosłą naukę, ale sformułował tę naukę w taki sposób, że stała się ona powodem nieporozumień i dwuznaczności. Oddając mianowicie do druku nowe wydanie Manifestu Komunistycznego, Marks i Engels zaopatrzyli je wstępem, podpisanym przez nich obu i datowanym 24.VI. 1872. We wstępie tym piszą oni, że program Manifestu miejscami stał się przestarzały. „W szczególności Komuna paryska dowiodła, że klasa robotnicza nie może po prostu zawładnąć **gotową** *) maszyną państwową, aby ją wprawić w ruch dla swoich własnych celów". Na tę to poprawkę powoływali się reformiści, gdy cytowali Marksa jako świadka na to, że doświadczenie dziejowe zmusza do zerwania z rewolucjonizmem. Otóż Lenin wykazuje przekonywująco całkowitą dowolność i opaczność takiego rozumienia owej poprawki. Przypomina on list Marksa z dnia 12

*) Podkreślenia Lenina.

kwietnia 1871 (wydrukowany w „Neue Zeit” XXI r. 1901-2), w którym powołuje się na cytowany przez nas wyżej rożdział z „18 Brumaire'a” i zapowiada, że kolejno najbliższą próba rewolucji francuskiej polegać będzie nie jak dotychczas na przekazywaniu biurokratyczno - wojskowej maszyny z jednych rąk do drugich, lecz na jej rozbiciu, gdyż to jest przedwstępny warunek każdej ludowej rewolucji na kontynencie.

Wykazawszy w ten sposób, jak dalece błędna i opaczna była interpretacja pism Marksa i Engelsa, dokonana przez reformistów w kwestii rewolucji, Lenin jednocześnie konkretnie formułuje zadania rewolucji socjalnej i omawia taktykę walk rewolucyjnych.

Restitutio ad integrum nauki Marksa i Engelsa oraz analiza doświadczeń rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w wieku XX umożliwia Leninowi jasne i wyraźne sformułowanie istotnego zadania rewolucji socjalnej. Zadanie to polega na **całkowitym rozbiciu i gruntownym zniszczeniu istniejącego aparatu państwowego.** Zadanie to ma być wykonane nie tylko in capite, ale także in membris.

Tak postawione zadanie rewolucji jest niewątpliwie dalekie od wszelkiego sentymentu. Jest ono tak bezwzględne i nieubłagane, tak dalece nie uznaje pardonu i pobłażliwości, że trzeba przyznać, nie jest ono łatwe do przyjęcia. Mówi się, że cała nasza moralność zachodnio - europejska buntuje się przeciwko temu tworowi rodem ze Wschodu. Ale ten genealogiczny wywód jest w każdym razie zupełnie błędny. Jak wynika bowiem z powyższych rozważań, Marks i Lenin sformułowali to zadanie rewolucji na podstawie analizy ruchów rewolucyjnych w Europie zachodniej.

Jest to w każdym razie sprawa tak doniosła, że musimy jej poświęcić kilka wyjaśnień. Nie ulega wątpliwości, że każda rewolucja, która tego zadania nie wykona w taki sposób, jak się tego Lenin domaga, skazana jest na rychłą klęskę, mimo początkowych powodzeń. Nie wystarczy bowiem przejęcie gotowego aparatu państwowego, obsadziwszy uprzednio tylko jego szczyty ludźmi nowymi. Dyspozycje tych szczytów nie dotrą w takim wypadku do terenu, na którym mają być zrealizowane. Przejdą one przez stary aparat, który działa jak sterylizujący filtr. Najlepsze zamysły szczytów w kierunku przebudowy życia i wyprowadzenia go na nowe tory, zostaną wypaczone i zamienione w bezkształtny nonsens — gospodarczo-społeczny, polityczny i ogólno-kulturalny. Zrodzi się z nich twór zupełnie niezdolny do życia, albo co gorzej, stara, zbutwiała treść pod nową rewolucyjną nazwą. Nie koniecznie to musi być świado-

my sabotaz, najczęściej będzie to praca wykonywana na mocy inercji i bez specjalnych intencji, ale to jest jeszcze niebezpieczniejsze. Sabotaż bowiem, działając intensywnie, jest uchwytny i może być pociągnięty do odpowiedzialności prawnej. Inercja, wynikając nie ze złej woli, ale z niemożności zrozumienia nowego ładu, działa ekstensywnie — cicho, powoli, ale masowo, i wymyka się przez to z pod kontroli. Tam, gdzie zostaje stary aparat administracyjny, nowe siły społeczne wyzwolić się nie mogą. Aparat ten ciężarem swoim przytłacza je i kieruje ich dynamizm na boczne ślepe tory. Rewolucja zgrywa się rychło w oczach mas jako bezsensowny eksperyment ludzi niedojrzałych do rządzenia. Reakcja społeczeństwa nie daje długo czekać na siebie. Powrotna fala podnosi się coraz wyżej i coraz powszechniejsza staje się tęsknota za „dawnymi, dobrymi czasami..."

W nowszej historii roi się od takich poronień rewolucyjnych, spowodowanych przez przejęcie w spadku — gotowego istniejącego aparatu biurokratycznego. W niemieckiej republice wejmarskiej przybrało to tak jaskrawe formy, że ukuto znane przysłowiowe powiedzenie: „Cesarz odszedł, generałowie zostali". Rychłe gruntowne zgranie się rządów Eberta i całego ustroju wejmarskiego może służyć za doskonałą ilustrację poronionej rewolucji. Podobnie było w Anglii po zwycięstwie wyborczym Labour Party w roku 1924 i 1929. Rutyna starej konserwatywnej administracji bardzo prędko dała sobie radę z niewątpliwym sukcesem początkowym partii robotniczej. Jeszcze gorszy los spotkał bezkrwawą rewolucję wyborczą ludu hiszpańskiego w r. 1931.

Ale zniszczony aparat państwowy należy zastąpić nowym, bo przecież w tym istotnym punkcie odgradza się Lenin od anarchizmu, który głosi hasło zupełnego zniszczenia państwa z dziś na jutro. Otóż do zbudowania nowego aparatu państwowego trzeba dostatecznych kadr nowych ludzi, bezwzględnie oddanych ładowi, który mają stworzyć. Sprawa kadr rewolucyjnych prowadzi do zagadnienia dojrzałości społeczeństwa do rewolucji i przebudowy, idącej w ślad za nią.

Za jedyne kryterium takiej dojrzałości uważano przed Leninem stopień uprzemysłowienia kraju i liczbowy stosunek proletariatu do innych klas społecznych: chłopów i drobnego mieszczaństwa. W statystyce widziano nieomylnego arbitra w sprawach dojrzałości lub niedojrzałości do przebudowy społecznej. Wedle Lenina, sprawa nie jest tak prosta. Nie jest rzeczą istotną, czy w danym momencie historycznym i w danym kraju proletariat posiada absolutną większość w społe-

czeństwie i w przedstawicielstwie parlamentarnym. Natomiast decydujące znaczenie posiada zwartość partyjnej organizacji proletariatu, jego uświadomienie społeczno-polityczne i jego przygotowanie do wykonania taktycznych i zasadniczych zadań rewolucji, w szczególności także jego umiejętność korzystania z energii rewolucyjnej drzemiącej w innych nierobotniczych warstwach społecznych. Krótko mówiąc, najważniejszą rzeczą jest gotowość bojowo-rewolucyjna proletariatu. Proletariatowi bowiem przypada w rewolucji rola awangardy szturmowej, która musi być zdolną do porwania za sobą i skupienia koło siebie najszerszych mas, szczególnie chłopów i drobnego mieszczaństwa, ale także w ogóle wszystkich elementów społecznych, które czują się upośledzone i poszkodowane przez istniejący stan rzeczy. Jeżeli proletariat do tego jest zdolny, staje się on niejako katalizatorem rewolucyjnym, który wyzwala utajone powinowactwa społeczne, a przez to — hegemonem ruchu rewolucyjnego. Będąc kadrą rewolucji, zawiera proletariat w sobie elementy, które samorzutnie staną się kadrami nowego aparatu państwowego, powstającego na gruzach starego.

Proletariat jednakże nawet tak przygotowany, wykonać może zadania rewolucyjne tylko w momencie historycznym, w którym istnieją warunki sprzyjające powodzeniu akcji rewolucyjnej. Lenin przeprowadził szczegółową analizę tych warunków. Druga połowa XIX wieku nie sprzyjała powodzeniu ruchów rewolucyjnych. Jak już wspomnieliśmy wyżej, był to okres świetnego rozwoju kapitalizmu. Jego ówczesny mechanizm gospodarczy opiera się głównie na pokojowej konkurencji. O pokojowości ówczesnej gospodarki kapitalistycznej decydowały różne czynniki, przede wszystkim stosunkowo słaby stopień koncentracji ekonomicznej, obfitość produkcji, połączona jednocześnie z stosunkowo dużą chłonnością rynku wewnętrznego oraz możność łatwego zdobycia w razie potrzeby nowych rynków zbytu, jako że świat nie był jeszcze podówczas podzielony na sfery wpływów.

Na przełomie wieku XIX i XX nastąpiła radykalna zmiana w gospodarce kapitalistycznej pod wszystkimi tymi względami. Proces koncentracji w sposób niemal żywiołowy ogarniał jedną dziedzinę wytwórczości przemysłowej za drugą. Podobnie działo się w handlu i bankowości. Jednocześnie coraz bardziej zazębiały się o siebie owe trzy gałęzie życia gospodarczego, szczególnie nastąpiło wzajemne przenikanie się kapitału przemysłowego i kapitału bankowego. Stało się to najwcześniej w Stanach Zjednoczonych, w których w r. 1882 John D. Roc-

kefeller założył pierwszy trust (Standard Oil Trust). Od tego czasu z roku na rok rośnie ilość zjednoczeń gospodarczych w postaci karteli, trustów, syndykatów i holdingów. Ustawodawstwo próbowało zwalczać tendencje kartelowe, ale bęz powodzenia. Tendencje te bowiem wynikały z organicznych przęmian, zachodzących w kapitalizmie. Wzrosła niepomiernie produkcja na skutek postępów technicznych i naukowej organizacji pracy. Faktyczna produkcja, jeszcze więcej wydajność aparatu produkcyjnego przerastała znacznie zdolność konsumcyjną rynku wewnętrznego; wzrost jego chłonności nie dotrzymywał kroku wzrostowi produkcji. Stopa bowiem życiowa szerokich mas podnosiła się zbyt powolnie w stosunku do zwiększania się dochodu narodowego i akumulacji bogactwa kraju. Na skutek tego coraz pilniejsza stawała się sprawa wywożenia i lokowania kapitału za granicą. Szczególnie kusząca była lokata kapitału w krajach o niskiej stopie życiowej i tym samym o taniej robociźnie. Wywóz kapitału w postaci narzędzi produkcji był tym bardziej konieczny, że w krajach wysoko uprzemysłowionych ciężki przemysł odgrywał coraz większą rolę w całokształcie gospodarki narodowej. Ograniczenie zaś produkcji w gospodarce zmodernizowanej pod względem technicznym, zracjonalizowanym pod względem metod pracy było bardzo utrudnione, gdyż tylko przy masowej produkcji mogły zamortyzować się koszty inwestycji *).

Jednocześnie łatwe pokojowe zdobycie nowych rynków stało się rzeczą niemożliwą. Świat został politycznie podzielony między wielkie mocarstwa, a był podzielony nierównomiernie. Kraje bowiem, w których przemysł zaczął rozwijać się później np. w Niemczech i Japonii musiały się zadowolnić resztkami kolonii i sfer wpływów. Z początkiem XX wieku kapitalizm wszedł w nowe stadium: gospodarka liberalistyczna zamieniała się w monopolistyczną a pacyfistyczna konkurencja ustępowała miejsca zbrojnemu imperializmowi. „Imperializm — powiedział Lenin — to przeddzień socjalnej rewolucji proletariatu”.

Okres wojen imperialistycznych stał się równocześnie epoką rewolucji społecznej. Wojna imperialistyczna stwarzała warunki sprzyjające powodzeniu akcji rewolucyjnej, tam oczywiście, gdzie proletariat był do niej odpowiednio przygotowany i wyszkolony — ideowo, organizacyjnie i pod względem ducha bojowego. Wojna osłabia aparat państwowy i czuwające nad nim ramię zbrojne — nawet u zwycięzców, ale przede wszyst-

---

*) Louis Pommery: Aperçu d'Histoire Économique contemporaine 1890-1939 Paryż 1945.

kim w krajach ponoszących klęski. Różnorakie i wielkie ciężary spadają wszędzie na przeważającą większość społeczeństwa, a kraj ponoszący klęski może zostać pozbawiony nawet podstawowych źródeł dochodu społecznego na skutek okupacji, zniszczeń i grabieży wojennej pod różną postacią. Przestawienie całej produkcji na cele militarne obniża gwałtownie poziom życia szerokich mas, gdyż ograniczenie konsumcji staje się regułą. Liczne ofiary wojenne w ludziach rewoltują nawet elementy klasowo związane z istniejącym ustrojem. Odpowiedzialnością za zło powszechne zostaje obarczony aparat państwowy i warstwa społeczna podtrzymująca go. W tych warunkach rewolucyjny proletariat staje się szermierzem powszechnej wolności i obrońcą dobra w sensie najbardziej elementarnym. Tylko w takim momencie historycznym awangarda rewolucyjna staje się jakby głową i sumieniem całego społeczeństwa. Emancypacja proletariatu przemienia się w wyzwolenie całego narodu. I w imieniu powszechnych praw społeczeństwa może proletariat, mimo że jest poszczególną klasą społeczną, zgłosić moralnie uzasadnione roszczenia do powszechnego panowania. Te moralne uzasadnienia odróżniają każdą prawdziwą rewolucję od pospolitej rebelii.

Wojny imperialistyczne także pod względem techniczno-militarnym stwarzają warunki sprzyjające akcji rewolucyjnej. W przeciwieństwie do wojen wieku XIX, które miały charakter lokalny, wojny wieku XX-ego mają charakter ogólnoświatowy. Dalekosiężność celów militarnych imperializmu, nieznany dotąd rozwój środków lokomocji, zbliżający do siebie kraje nawet położone na antypodach, a przede wszystkim zazębianie się w skali światowej interesów kapitału czynią lokalizację konfliktów rzeczą niemożliwą. I, co w związku z omawianą tutaj sprawą jest szczególnie ważne — w każdej wojnie światowej uczestniczy w różnym stopniu cała ludność; każda wojna imperialistyczna jest zarazem „totalna". Ta powszechność obowiązku wojennego jest bronią obosieczną. Wzmacnia ona przejściowo, szczególnie w czasie pokoju wpływy korpusu oficerskiego i sztabów; mają one świadomość swego znaczenia i czują się panami życia i śmierci ogółu obywateli. Ale powszechny obowiązek służby wojskowej, bądź co bądź demokratyzuje korpus oficerski i pozbawia go w dużym stopniu cech kastowości. Siłą faktu, demokratyzacja wojska jest najgłębsza podczas wojny. Obliczając szanse powodzenia akcji rewolucyjnej, proletariat liczy również na demokratyczne elementy korpusu oficerskiego i armii. Jak pokazało doświadczenie historyczne, rachuby te nie zawodzą.

Kwestia dojrzałości rewolucyjnej ma jeszcze i inny aspekt, którego pominąć nie można. Czy możliwą jest mianowicie rewolucja proletariacka w kraju o ustroju feudalnym? Zagadnienie to było żywo dyskutowane, szczególnie po wybuchu rewolucji marcowej w Rosji. Formułowano podówczas tezę, że między rewolucją mieszczańską a rewolucją proletariacką, która znosi ustrój mieszczański, upłynąć musi dostatecznie długi czas. Demokracja bowiem mieszczaska, jak rozumowano, krzepnie dopiero z rozwojem kapitalizmu. Obliczano ten czas na 50 a nawet 100 lat. Powoływano się także na to, że ewolucję cechuje ciągłość, tak że każde jej stadium musi powoli dojrzewać. Natura non facit saltus. Próba przeskoczenia jednego ogniwa rozwoju, jakim byłaby rewolucja proletariacka w kraju feudalnym, musiałaby skończyć się fiaskiem.

Rozumowanie to jest tylko na pozór przekonywujące. Pozór ten pochodzi z całkowitej abstrakcyjności rozumowania, w świetle bowiem doświadczenia sprawa wygląda zupełnie inaczej. Jest rzeczą zrozumiałą, że w kraju czysto feudalnym nie byłaby możliwa nie tylko rewolucja proletariacka, a nawet mieszczańska, po prostu nie byłoby komu robić tych rewolucji. Ale można wątpić, czy czysto feudalne ustroje istnieją dzisiaj nawet na peryferiach kultury europejskiej. W kręgu kultury europejsko-amerykańskiej można co najwyżej mówić o silniejszych lub słabszych elementach feudalizmu, które utrzymały się przy życiu w środowisku mieszczańskim. Ogólnego zresztą rozwoju poziomu kulturalnego nie można mierzyć tylko formalnie obowiązującym stanem prawnym. Nawet wówczas, gdy w nim dominują elementy feudalne, de facto istniejące stosunki gospodarczo - społeczne czynią w nim liczne wyłomy. Ośrodki wysoko uprzemysłowione promieniują na cały kraj metodami wytwórczości, kulturą estetyczno - umysłową i ogólnym stylem życia, sięgając nawet do tych ośrodków, w których feudalizm jest jeszcze bardzo żywotny. Tak promieniowała również kultura miast średniowiecznych, urbanizując szlachtę choć stanowiła ona ogromną większość społeczeństwa. Podobnie i współcześnie proletariat wielkich miast ogarnia swym zasięgiem kulturalnym również warstwy szlacheckie, tam gdzie one zostały. Dzieje się to szczególniej w tych krajach, w których proletariat jest żywotny i nieskażony pod względem organizacyjnym i duchowym. Istnienie resztek feudalizmu wzmaga jeszcze jego nieprzejednanie i rozmach.

Cóż z tego, że elementy junkiersko-feudalne były w całokształcie życia Niemiec do r. 1914 znacznie słabsze, aniżeli

w carskiej Rosji? Cóż z tego, że proletariat stanowił tam niemal większość społeczeństwa i miał silne przedstawicielstwo w parlamencie? Dwa razy w ciągu jednej generacji historia wytworzyła w Niemczech warunki, które w nader wysokim stopniu sprzyjały wyprowadzeniu społeczeństwa na nowe tory przez dokonanie istotnego przełomu. Dwa razy załamywał się aparat państwowy klasy panującej, ale międzynarodowy proletariat daremnie czekał na silną awangardę rewolucyjną, któraby ten aparat zniosła do szczętu i przystąpiła do budownictwa socjalistycznego. Zamiast niej, wystąpili na widownię Scheidemann i Noske, epigoni reformizmu. W r. 1945 nawet i takich „bojowców" zbrakło.

Odwrotnie, „...w r. 1917 łańcuch światowego frontu imperialistycznego okazał się w Rosji słabszy, aniżeli w innych krajach. Tam się też on przerwał, dając ujście rewolucji proletariackiej. Dlaczego? Dlatego, że w Rosji rozwijała się wielka rewolucja ludowa, na której czele kroczył rewolucyjny proletariat, mając tak poważnego sojusznika, jak wielomilionowe chłopstwo, uciskane i wyzyskiwane przez obszarników. Dlatego, że przeciwko rewolucji występował tam tak ohydny przedstawiciel imperializmu, jak carat, który pozbawiony był wszelkiej wagi moralnej i zasłużył sobie na powszechną nienawiść ludności. W Rosji łańcuch okazał się najsłabszy, mimo że była ona mniej rozwinięta pod względem kapitalistycznym, aniżeli Francja, Niemcy, Anglia lub Ameryka..." *)

Na zakończenie tych rozważań należy jeszcze wspomnieć o zagadnieniu „rewolucji socjalnej w jednym kraju". Marks i Engels, ilekroć rozważali problematykę rewolucji, ujmowali ją zawsze w skali międzynarodowej. Wychodzili oni zawsze z założenia, że rewolucja ogarnie jednocześnie wszystkie lub przynajmniej większość krajów europejskich. Przyczyną takiego ich podejścia do sprawy był historyczny rodowód ich teorii rewolucji. Zrodziła się ona z „wiosną ludów" i wysnuta została z doświadczeń rewolucyjnych pamiętnego roku 1848-go. Brali oni obaj bezpośredni udział w ówczesnym ruchu rewolucyjnym, który swym zasięgiem objął wszystkie kraje zachodniej i środkowej Europy. Ten prototyp rewolucji powszechnej był sugestywnym modelem dla wszystkich ich rozważań teoretycznych. W ostatnim ćwierćwieczu XIX-go stulecia—w okresie prosperity kapitalizmu — zacierały się przeciwieństwa klasowe i stępiło się ostrze walk klasowych. Nawet Engels, który przeżył Marksa o kilkanaście lat, nie dożył sposobności zesta-

*) J. Stalin: Zagadnienia leninizmu. Moskwa 1940.

wienia tego myślowego prototypu rewolucji z doświadczeniem historycznym. Dopiero przeniesienie się centrum rewolucji do Europy wschodniej zaktualizowało zagadnienie rewolucji socjalnej w jednym kraju. Doświadczenie historyczne pokazało także w tej sprawie, że aprioryczna, czysto doktrynerska próba rozwiązania tego zagadnienia rozminęła się z rzeczywistością. Okazało się, że nie małą rolę odgrywają tutaj również czynniki geograficzne; położenie geopolityczne, rozległość i konfiguracja terenowa kraju, w którym dokonywa się rewolucja. Rewolucja październikowa nie mało zawdzięczała okoliczności, że zasięg jej obejmował 1/6 globu ziemskiego *).

Zagadnienie rewolucji, jako funkcji historycznej jest tak rozległe i doniosłe, że nie można go wyczerpać w ramach tej pracy. Nie chodziło też tutaj o to. Cel tych rozważań jest znacznie skromniejszy: są one próbą naukowego, socjologicznego postawienia problemu. Próbują one omawiać sine ira et studio sprawy, w których gniew i namiętność siłą faktu odgrywają tak dużą rolę. Założenia teorii rewolucji socjalnej zostały opracowane przez rewolucjonistów, dla których czyn jest żywiołem głównym, a refleksja — wtórnym. Ich rozwiązania mają wartość tym większą, że wysnute są nie tylko z doświadczeń historycznych, ale i z własnych przeżyć. Ale dlatego też słychać w nich wrzawę rewolucyjną i tumult mas. Pisane one były niejako w przerwie między jedną rewolucją a drugą — językiem, którym ich autorowie przywykli całe życie przemawiać do tłumów. Ten charakter rozważań, a zwłaszcza ich specyficzna szata słowna rażą prawdopodobnie niejednego intelektualistę. Jest to zapewne jedna, choć nie jedyna przyczyna faktu, że zagadnienie rewolucji jako funkcji historycznej nie zostało dotąd rozpatrzone z taką powagą, wysiłkiem i rozmachem, na jaki zasługuje. Inni znowu myśliciele stosują wypróbowany sposób uśmiercania niewygodnych problemów przez konsekwentne ich przemilczanie. W ten sposób mogło się stać, że problematyka rewolucji socjalnej należy do tych spraw, o których Szekspir mówi, że nie śniły się nawet filozofom...

---

*) Problematyka rewolucji socjalnej i budownictwa socjalistycznego w jednym kraju ma różne aspekty, których omawianie wypada z ram tych wywodów.

ST. ZWOLIŃSKI

Gospodarka planowa

W okresie o większym nasileniu przemian społecznych uwydatniają się wyraźniej sprzeczności, tkwiące w poglądach na problemy gospodarcze, polityczne i społeczne. Niewątpliwie zagadnienia gospodarcze są nie jedyną wprawdzie ale jedną z najpoważniejszych przyczyn zaburzeń społecznych i związanych z nimi zagadnień politycznych.

Jedną z takich sprzeczności jest kwestia współistnienia dwu tendencyj: gospodarki państwowej czy społecznej i t.zw. „inicjatywy prywatnej".

Nie wdając się w ocenę, czy objęcie przez państwo wszystkich bezwzględnie agend gospodarczych od razu czy stopniowo jest korzystne czy nie, musi się stwierdzić fakt, że ujęcie podstawowych gałęzi produkcji i handlu jest podyktowane koniecznością, która wypływa nie ze stanowiska potrzeb aktualnej polityki, ale raczej spowodowana jest tym, że nie ma innego praktycznego sposobu dla uregulowania chaotycznie odbywających się procesów gospodarczych oraz nadania im wartości wektorów społecznych.

Produkcja rolna i przemysłowa w ustroju kapitalistycznym idzie zawsze w kierunku osiągnięcia maksymalnego zysku dla właściciela. Konsekwencją naturalną tego jest daleko posunięta oszczędność procesów produkcji, która wyraża się nie tylko w utrzymaniu najniższych płac, ale również i oszczędnym gospodarowaniu surowcem. System kontroli zapobiegający zbyt wielkim nadużyciom poparty sankcjami karnymi włącznie do usunięcia z pracy, zmontowany jest dość solidnie. Kontrolę jakości sprawuje odbiorca. Aparat administracyjny ograniczony do celowego minimum.

Te niewątpliwie duże zalety prywatnej produkcji nie nastręczałyby żadnych objekcji, gdyby nie zasadniczo ujemne zjawiska, które są ściśle z nimi związane. W pierwszym rzędzie stała dążność do utrzymania najniższych płac, które w okresach złej koniunktury czynią z robotników — bez przesady i dosłownie — niewolników. Po drugie konieczność ciągłego poszukiwania nowych rynków zbytu i źródeł surowców. Po trzecie nacisk na czynniki państwowe w celu obrony interesów kapitalistów z krzywdą dla społeczeństwa. Pierwsza cecha ujemna prowadzi do zaburzeń społecznych, druga do wojen, trzecia do kryzysów gospodarczych, co skolei prowadzi do nowych kon-

fliktów społecznych zamykając tym samym błędne koło gospodarki prywatnej.

Te cyklicznie zachodzące katastrofy wykazują dość dużą prawidłowość, a okresy względnej równowagi nie zawierają żadnych elementów, pozwalających na wyjście z beznadziejnej sytuacji. Nauka nie zdradza dość wyraźnych możliwości profilaktyki, etyka religijna nigdy nie miała żadnego wpływu na te zjawiska, a wywodząca się z niej filantropia jest żałosnym nieporozumieniem. Najwidoczniej tkwi w tym jakiś podstawowy błąd.

W poszukiwaniu rozwiązania tego iście gordyjskiego węzła podsunięto receptę gospodarczej współpracy międzynarodowej. Słuszność tej tezy, zdawało się — potwierdza fakt, że całkowita izolacja gospodarcza jednego państwa prowadzi niezwykle szybko do zupełnej ruiny (wyjąwszy nieliczne obszary państwowe o samowystarczalności uzyskanej przez warunki gospodarcze).

Nie trzeba głębszej analizy, aby stało się widoczne, że okres dłuższej równowagi uzyskanej na tej drodze jest identyczny z okresem dobrobytu państwa, które zdobyło nowy rynek zbytu i nowe źródła surowców. Światowe surowce wcześniej czy później wyczerpią się, rynki zostaną nasycone i nastąpi już nie kryzys, lecz kataklizm gospodarczy w skali światowej. Innymi słowy droga ta prowadzi konsekwentnie do pierwotnych form bytowania. Ludzkość zacznie swą drogę rozwoju na nowo. Periodyczne zjawiska kataklizmów będą miały tylko większy okres.

Błąd zasadniczy, który leży u podstawy grożącego stale niebezpieczeństwa katastrof gospodarczych tkwi w chaotycznej gospodarce, której zasadniczym motorem jest nienasycona zachłanność jednostek. Środkiem zaradczym, jedynie dziś możliwym do zastosowania, jest gospodarka planowa, porządkująca chaos w ład, przewidująca wyniki i zabezpieczająca przed załamaniami gospodarczymi. Trudno przypuścić, że planowość gospodarcza przyszłaby kiedyś sama w ewolucyjnym biegu przemian ekonomicznych. Jeśli przypuszczenie takie nie jest w samym założeniu utopią, to w praktyce jest bezwartościową koncepcją, której w rachubę brać nie można. Dlatego państwo jako czynnik decydujący musi z konieczności zająć się uporządkowaniem szkodliwego i niebezpiecznego nieładu, z jakim związana jest gospodarka indywidualistyczna. Innej drogi niema.

System kapitalistycznej gospodarki jest organizacyjnie zmontowany świetnie. Ma swe wyrobione metody i rozporządza motorem nowoczesnej gospodarki — finansami. Kapitalizm nie ustępuje z pola bez walki, którą prowadzi w najrozmaitszych

formach, bardzo często niezwykle zręcznie zamaskowanych. Państwo ma do zwyciężenia te wszystkie trudności, wśród których występuje jeszcze jedna, ale natury zasadniczej. Gospodarka planowa w istotnym znaczeniu tego słowa nie może całkowicie osiągnąć zamierzonych wyników w granicach jednego terytorium gospodarczego. W najlepszym wypadku może doprowadzić do samowystarczalności określonego obszaru geograficznego. Stąd zrozumiała dążność do wprowadzenia jej na całym świecie.

Gospodarka planowa ma w pierwszym rzędzie na celu uregulowanie produkcji w taki sposób, aby nie dopuścić do nadprodukcji w jednych gałęziach a do niedomiaru w innych, dalej najbardziej celowe i oszczędne wyzyskanie surowców. Produkcja jednak nie jest celem samym w sobie. Służyć ma do nasycenia rynku wewnętrznego tak, aby stale podnosić poziom życiowy wszystkich warstw społeczeństwa. Jest to niemożliwe bez opanowania metod rozprowadzenia wytworów produkcji między konsumentów czyli bez ujęcia w swoje ręce handlu. Tak produkcja jak i handel związane są z finansami, które przecież nie mogą pozostać w rękach prywatnych, aby nie paraliżowały akcji państwowej. Tak więc produkcja, handel i finanse tworzą nierozdzielną całość, stanowiącą zasadniczy teren planowego działania. Na łamach prasy codziennej rozważane są te sprawy często i niema potrzeby rozwodzić się nad nimi.

Dla wyjaśnienia w jakich granicach państwo podejmuje się ingerencji wyjaśniono, że uznaje się trzy sektory w naszej gospodarce, a to państwowy, spółdzielczy i indywidualny czyli sektor t.zw. „inicjatywy prywatnej".

W tym wyjaśnieniu kryje się źródło pewnych nieporozumień. Zrozumałe jest, że trzy sektory nie mogą być od siebie niezależne i nie mogą prowadzić swej własnej polityki gospodarczej. Natomiast nie zostało nigdzie sprecyzowane, jakie dziedziny pozostawia się każdemu sektorowi. Wprawdzie mówi się o upaństwowieniu podstawowych gałęzi przemysłu, ale rzeczywistość nie pokrywa się z tym całkowicie. Spółdzielczość i „inicjatywa prywatna" znajduje się w antagonizmie w niektórych dziedzinach, bo to, że istnieją równolegle nie oznacza podziału pracy ani tym bardziej współpracy między nimi.

Państwo, podejmując interwencję, czyni to w założeniu, że w chaos gospodarczy wprowadzi ład. Przejmowanie we własny zarząd zakładów produkcyjnych nie może mieć na celu uzyskania tylko dochodów. Przede wszystkim państwo powinno objąć te gałęzie, w których zachodzić może proces szybszej produkcji niż konsumpcji i zbytu zagranicznego, następnie te, które

wymagają sprowadzania surowców zagranicznych, gdyż te dziedziny stają się najprędzej źródłem chaosu, do którego państwo ma właśnie nie dopuścić.

Wreszcie i te gałęzie, w których surowce krajowe eksploatowane być muszą z dużą dalekowzrocznością i celowością, aby nie uległy przedwczesnemu wyczerpaniu.

Już w okresach dawniejszych państwo objęło szereg agend wytwórczych w postaci monopoli. Pomijając monopol spirytusowy, wszystkie inne były tylko pozycjami dochodowymi i niczym więcej nie były usprawiedliwione. Precedens ten ma następstwa dzisiaj, gdyż państwo zdradza tendencję do obejmowania zakładów, które w rękach państwa nie powinny się znaleźć według zasady planowości. Wprowadza to pewne wypaczenie w czystości linii planowej gospodarki oraz stwarza złudzenie zdążania do objęcia przez państwo całej gospodarki.

Aparat gospodarczy państwowy musi być z konieczności mniej lub więcej zbiurokratyzowany. W okresie stawiania pierwszych kroków nie rozporządza państwo dostateczną liczbą ludzi, stojących na odpowiednim poziomie etyki społecznej. Stąd błędy i niedociągnięcia oraz nadużycia nie zawsze wykrywane. Dlatego upaństwowienie nie powinno mieć charakteru ryczałtowego włączania w orbitę gospodarki państwowej zakładów produkcyjnych o takiej wielkości, lecz powinno być selektywne, aby zachować zasadę największej celowości w danej sytuacji.

W dążeniu do realizacji planowej gospodarki, państwo musiało pozostawić dużą swobodę w sektorze indywidualistycznym, przede wszystkim w dziedzinie handlu. Aparat państwowy, wraz z wykorzystanym dla celów planowości ruchem spółdzielczym, nie jest przygotowany ani organizacyjnie ani technicznie do podjęcia olbrzymiego zadania, jakim jest sprawne a sprawiedliwe rozprowadzenie wśród społeczeństwa wszystkich artykułów konsumpcyjnych. Handel prywatny sprawniejszy i ruchliwszy od ciężkiej biurokratycznej machiny państwowej może utrzymać swą niezależność na długo, jeśli nie na stałe, pod pewnymi warunkami. Pierwszym i zasadniczym warunkiem jest włączenie się handlu wolnego w mechanizm planowości, drugim nie mniej ważnym jest przestawienie się na tory rzetelności i uczciwej kalkulacji. Niechęć, jaką społeczeństwo żywi do kupców, pochodzi stąd, że zawsze każdej zwyżce zarobków towarzyszy zwyżka cen, niewspółmiernie wysoka w stosunku do zarobków. Oznacza to, że kupiec nigdy nie chce ponieść żadnej ofiary w krytycznych dla państwa okresach i zwyżką cen utrzymuje się na wysokiej stopie życiowej.

Handel, spełniając ważną społecznie rolę, staje się terenem powstawania warstwy wyzyskującej. Jeśli wolny handel nie będzie mógł zmienić swych tendencji, zostanie wyrugowany przez rozrastającą się spółdzielczość i mniej sprawną, ale sprawiedliwszą akcję interwencyjną państwa.

Produkcja, handel i finanse, to jeden podstawowy odcinek planowej gospodarki. Ograniczanie się do niego nie może spełnić założeń opanowania chaosu społecznego. Bezpośrednio ze sprawami wyżej poruszonymi łączy się zagadnienie wykształcenia, jako drugi człon polityki ładu społecznego.

Procesy wytwórcze łącznie z handlem i gospodarką finansową potrzebują odpowiednio wyszkolonych pracowników. Dopływ nowych ludzi odbywa się zupełnie przypadkowo. Od wielu lat obserwuje się przepełnienie pewnych uczelni lub wydziałów młodzieżą, której zainteresowanie się daną dziedziną jest proporcjonalne do dochodowości zawodu. Ogromna ilość kandydatów, która nie mogła dostać się na dany wydział, lokuje się na wydziałach innych, gdzie jest miejsce. Jest to dowodem zupełnego braku kierunku kształcenia się oraz niewykrystalizowanych zainteresowań. Nie można przecież sądzić, że nadmierny napływ do zawodów popłatnych jest wywołany zainteresowaniem w danej dziedzinie lub chęcią zdobycia wykształcenia — natomiast łatwo zorientować się, że perspektywa dużych zarobków jest bodźcem kierującym.

Uderzające jest, że ten sposób zaopatrywania określonych dziedzin pracy w nowych pracowników jest najzupełniej chaotyczny i przypadkowy, że jakość pracowników jest problematyczna, a motywy podejmowania pracy w społeczeństwie budzą zastrzeżenia. I tu więc planowość gospodarki, dążąca do coraz sprawniejszego jej funkcjonowania musi przejawić się w uporządkowaniu tego prymitywnego wyścigu do stanowisk. Społeczeństwo musi być przygotowane na to, że w dalszej fazie przeprowadzania ładu społecznego, państwo musi ująć w swe ręce sprawy wykształcenia i nadać mu celową kierunkowość. Przy coraz większych możliwościach studiów grozi, że będziemy mieli samych inżynierów, a majstrów będziemy sprowadzać z zagranicy, lub przy utrudnieniu dostępu do wyższych uczelni, będziemy mieli spory procent kierowniczych sił z pustymi głowami, a wśród robotników marnować się będą talenty. Państwo będzie musiało przeprowadzić kategoryczną selekcję uzdolnień w szkołach średnich i do studiów wyższych dopuszczać, odpowiednio do potrzeb życia społecznego, kontyngent najzdolniejszych w danym zawodzie. Jest to drugi odcinek planowej gospodarki, z którym społeczeństwo zżyć się powinno, aby, gdy to na-

stąpi, nie dopatrywano się naśladownictwa wzorów obcych i tym podobnych niedorzeczności.

Trzecim odcinkiem planowości gospodarki jest zorganizowanie pracy, wczasów i kształcenia pozaszkolnego. Wydawaćby się mogło, że te sprawy, poza organizacją pracy nie wiele mają wspólnego z gospodarką. Jest to przypuszczenie zupełnie błędne. Wczasy i kształcenie pozaszkolne są nie mniej ważnym zagadnieniem, jak sprawa płac i wyżywienia. Planowa gospodarka społeczna nigdy nie będzie zupełną, jeśli pominie ten odcinek. Niewłaściwa interpretacja pojęcia pracy jako obowiązku, wczasów jako przyjemności i kształcenia pozaszkolnego jako środka zdobywania kwalifikacji zawodowych, utrudnia zrozumienie ważności tych spraw w całokształcie funkcyj społecznych.

Na wszystkich odcinkach gospodarki społecznej praca porządkowania została rozpoczęta. Zaznaczyć jednak trzeba, że ścisłego porozumienia między czynnikami działającymi dość autonomicznie na każdym z odcinków — nie widać. Wspólną cechą poszczególnych akcyj jest pewna kategoryczność, jeśli nie metod, to postulatów. Możnaby się obawiać, aby ta wspólna cecha nie stała się jedyną więzią zagadnień, które rozwijałyby się pod wpływem własnych i zupełnie niezależnych założeń. Tym samym powstałaby wielotorowość, mogąca doprowadzić do niepożądanych skrzyżowań interesów obywatela na płaszczyznach poszczególnych odcinków życia zbiorowego. A tego musimy uniknąć.

WILHELM BILLIG

„Periculum in mora"

Zacznijmy od razu od sedna rzeczy: Jaka jest społeczna funkcja sztuki? Jest nią mobilizacja sił narodu dla tych podstawowych zadań które stawia przed nim historia. Aby nie zaczynać od abstrakcji weźmy kilka przykładów. W okresie porozbiorowym podstawowym zagadnieniem, którym żył cały naród była walka o Wolność i Niepodległość Polski. Społeczna rola sztuki w tym okresie, społeczny jej sens polegał na tym, aby porwać, wstrząsnąć, zmobilizować siły narodu do tej walki, do walki o polską kulturę, o godność Polaka, o ziemie, do walki orężnej z wrogiem.

I wiemy, że to właśnie podstawowe zagadnienie, które nurtowało każdego Polaka i stanowiło o „być albo nie być" naszego Narodu było istotną treścią literatury i sztuki tego okresu. Weźmy Mickiewicza. Sprawa walki o wolność, mobilizacja narodu do tej walki leży u podstaw całej jego twórczości, wszystkich jego dzieł. Czy to postawiona w formie bezpośredniej w „Konradzie Wallenrodzie" i „Grażynie" czy też jak w „Panu Tadeuszu", który jest niewyczerpanym źródłem polskości dla całego narodu. Mówimy o Mickiewiczu lecz oczywiście tyczy to tak samo Słowackiego, Krasińskiego i wszystkich twórców tego okresu. Nie darmo naród nazwał ich swymi wieszczami. Dzieła ich tętniły i żyły tym czym żył naród, dzieła ich odpowiadały na te podstawowe pytania, które nurtowały naród. Dzieła ich były przewodnikiem narodu, wskazywały drogę, mobilizowały siły narodu. Toteż wpływ ich na społeczeństwo polskie był ogromny, ich rola społeczna tym większa. że wobec braku własnego rządu, organów prasowych itd. literatura i sztuka stały się jedną z głównych dźwigni społecznych, jednym z najskuteczniejszych środków oddziaływania na naród i mobilizacji jego sił. I niewątpliwie literatura tego okresu była tą siłą społeczną, która przerabiała naszych zjadaczy chleba jeśli nie w aniołów to w patriotów. Takich przykładów społecznych roli sztuki w naszym narodzie możnaby przytoczyć mnóstwo z różnych epok. W późniejszym okresie t.zw. pozytywizmu gdy przed narodem naszym stała sprawa pracy organicznej znowu literatura była tą dźwignią mobilizującą siły społeczne dla tego zagadnienia. Wystarczy wymienić takie nazwiska jak Prus, Orzeszkowa czy Świętochowski.

Dla uzmysłowienia siły społecznej literatury i oddziaływania na szerokie rzesze narodu przytoczymy choćby trylogię Sienkiewicza na której uczyły się patriotyzmu całe pokolenia młodzieży. Nie chodzi tutaj rzecz jasna tylko o literaturę. Nazwiska Chopina czy Matejki są dostateczne i wymowne dla zilustrowania wpływu na społeczeństwo malarstwa i muzyki. I jeśli Niemcy w okresie okupacji burzyli pomniki Mickiewicza, Chopina, jeśli niszczyli dzieła naszych twórców to nie tylko dla tego że chcieli wydrzeć narodowi to co jest najdroższe — kulturę, lecz i dlatego że rozumieli jaką potęgą społeczną jest sztuka i bali się jej oddziaływania na naród. Weźmy jeszcze przykład bardziej aktualny z czasów najnowszych, z okresu wojny przeciwko Niemcom hitlerowskim. Klasycznym przykładem może tu być społeczna rola sztuki w Związku Radzieckim. Przed narodem radzieckim stało się w tym okresie jedno podstawowe zadanie: obrona Ojczyzny, zwycięstwa nad wrogiem. „Wszystko

dla zwycięstwa" — pod tym hasłem był i pracował cały naród mobilizując wszystkie swe siły. W mobilizacji całego narodu do walki z Niemcami do zwycięstwa sztuka odegrała bardzo poważną rolę. Teatr, kino, radio, literatura i muzyka stały się w walce z wrogiem nie mniej ostrym orężem niż czołgi czy samoloty. W okresie najtrudniejszym, najcięższym, gdy Niemcy stali pod Moskwą i Leningradem uczyły takiej wytrwałości i zaciekłości w obronie jak „Ruskije ludzi" Simonowa lub „Nieujarzmieni" Gorbatowa, takiej nienawiści do Niemców jaką tchnęły codzienne felietony Erenburga w Krasnoj Zwiezdzie", takiej nieustraszonej walki na tyłach niemieckich, jaką prowadził bohater filmu „Sekretarz Rejkomu", a w późniejszym okresie wojny porywały do szturmu, do ofenzywy, do ostatecznego zwycięstwa. Sztuka Korniejczuka „Front", której treścią było zagadnienie nowoczesnej strategii stała się poważnym wydarzeniem politycznym i pomogła w dużym stopniu do utorowania drogi nowym metodom prowadzenia wojny i zwalczania starej rutyny.

Wystarczy chyba przykładów dla skonkretyzowania zasadniczej tezy, że społeczną rolą sztuk jest mobilizacja sił narodu dla tych podstawowych zadań, które przed nim w danym okresie historycznym stoją. Nie jest to oczywiście jedyna funkcja sztuki, lecz funkcja podstawowa i tutaj ograniczymy się tylko do analizy tej właśnie funkcji.

Takie sformułowanie społecznej roli sztuki znajdzie z pewnością wielu oponentów. W „Mobilizacji Sił Narodu" ludze skłonni będą doszukiwać się zamaskowanej propagandy, tendencji w sztuce, dążenia do przekształcenia dzieła sztuki w tanią agitację. My sądzimy jednak, że jest odwrotnie, że formułowanie to wyklucza wszelką łatwiznę, taniznę, wszelką wulganizację sztuki.

Aby zmobilizować ludzi trzeba trafić do ich serc, do ich umysłów, trzeba umieć ich przekonać, wstrząsnąć nimi, porwać ich. Nie jest to łatwe zadanie i nie może tego dokonać żadna agitacja. Oddziałać na ludzi rzeczywiście, pozostawić trwały ślad w umyśle i sercu człowieka może tylko prawdziwe dzieło sztuki. I na odwrót — nie może być wielkiego dzieła sztuki któreby nie spełniało tej roli społecznej, któreby nie mubilizowało, nie oddziaływało na ludzi. Oczywiście sztuka nie jest jedyną dźwignią mobilizacji sił społecznych. Jest nią również prasa, radio itd. itd. Każda z nich oddziaływuje swoimi środkami. Sztuka posiada swój arsenał śroków estetycznego oddziaływania na ludzi, działa równocześnie na ich uczucia, na rozum,

na wyobraźnię i dlatego może oddziaływać bodaj najgłębiej, najtrwalej i najprzestronniej.

Po tych uwagach możemy przejść do właściwego tematu. Jaka jest społeczna funkcja sztuki dzisiejszej i jak ją sztuka spełnia w naszej polskiej rzeczywistości?

Podstawowe zadania jakie dziś stoją przed narodem są jasne i bezsporne. Odbudowa Kraju, zaludnienie i zagospodarowanie ziem zachodnich, utrwalenie demokracji, zapewnienie bezpieczeństwa naszych granic itd. itd. Nigdy jeszcze w naszych dziejach nie stały przed narodem zadania tak wielkie, tak decydujące o naszych losach. Mogą one być wykonane tylko pod warunkiem zjednoczenia wszystkich wysiłków, mobilzacji sił narodu. Mogą one być zrealizowane pod warunkiem że w Polsce stanie się powszechny nowy typ człowieka - budowniczego, który posiada dostatecznie dużo entuzjazmu, energii i wytrwałości w pokonyw aniu przeszkód piętrzących się przed nami i dość umiejętności i wiedzy fachowej. W takich warunkach wśród wszystkich dźwigni, które muszą być uruchomione dla mobilizacji i wysiłków narodu, sztuka posiada szczególne możliwości oddziaływania społecznego i szczególne znaczenie. Jakież olbrzymie możliwości w wychowaniu np. tego nowego człowieka stoją przed teatrem, filmem i literaturą. Możliwości — zapewne, ale jak są one wykorzystywane przez nasz teatr, film, literaturę? W jakim stopniu spełniają one swą funkcję społeczną?

Samo postawienie tego pytania daje już właściwie odpowiedź. Sztuka nie wykorzystała jeszcze nawet w niewielkim stopniu tych ogromnych możliwości. Dlaczego?

Nim odpowiedmy na to pyanie, zastanówmy się jakie warunki muszą być spełnione aby sztuka mogła z powodzeniem pełnić swą funkcję społeczną, mogła pomóc w wykonywaniu podstawowych zadań stojących przed nami, moga pomóc w wychowaniu nowego człowieka?

Aby móc oddziaływać na naród, mobilizować go trzeba przede wszystkim do narodu dotrzeć. Sztuka musi dotrzeć do szerokich mas narodu, do robotników, do chłopów, do inteligencji pracującej, do rzesz drobnomieszczańskich. Musi dotrzeć książka i teatr, muzyka i film. Sztuka była dotychczas tylko dla elity, teraz mui być sztuką dla narodu. Zresztą i naród starano się identyfikować ze szlachtą czy inną elitą. Dziś, po raz pierwszy w naszej historii narodem jest naprawdę naród i po raz pierwszy w naszej historii kultura może być i musi być naprawdę własnością całego narodu. W marzeniach Mickiewicza aby książki jego zawędrowały pod strzechy zawierało się właśnie pragnienie, by sztuka, by kultura narodowa stała się własnoś-

cią całego narodu i na cały naród mogła oddziaływać. A więc upowszechnienie sztuki to pierwszy i zasadniczy postulat, który musi być spełniony, aby sztuka mogła wykonywać swoją funkcję społeczną. Hasło upowszechnienia sztuki i, szerzej, upowszechnienia kultury stało się dzisiaj modne. Ale niestety, jak to u nas często bywa, więcej się mówi niż poważnie myśli nad jego realizacją. Nie wszyscy nawet ci, którzy to hasło wysuwają, zdają sobie sprawę z jego znaczenia. Bo przecież upowszechnienie kultury oznacza dokonanie głębokiego przewrotu kulturalnego w naszym narodzie, dokonanie rewolucji kulturalnej przede wszystkim na naszej wsi. Po zwycięstwie nad faszyzmem dokonały się u nas zasadnicze przemiany społeczne zarówno na wsi jak i w mieście. Zlikwidowana została klasa obszarników, wykarczowane przeżytki feudalne na wsi i po raz pierwszy w naszej historii przeprowadzona została radykalna reforma rolna oddająca ziemię w ręce chłopów. Znacjonalizowany został wielki i średni przemysł, poważne zmiany zaszły w politycznej strukturze państwa — władzę wziął w swoje ręce lud. Za tymi przemianami, ich konsekwencją muszą być głębokie przemiany kulturalne, demokratyzacja i upowszechnienie kultury jako niezbędny warunek dalszego naszego rozwoju.

Weźmy np. wieś. Chłop otrzymał ziemię, indywidualne gospodarstwo chłopskie stało się trwałą podwaliną dalszego rozwoju. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba, aby chłop mógł się zagospodarować i dobrze zagospodarować. Trzeba, aby ziemia dawała jak największe plony, aby podnieść kulturę rolną, udostępnić nawozy, maszyny rolnicze itd. itd. Ale żeby to stało się możliwe, trzeba przede wszystkim podnieść kulturę samego chłopa, aby chłop umiał kulturalnie ziemię uprawiać, aby umiał obchodzić się z maszynami rolniczymi, aby miał odpowiednie wykształcenie fachowe, jednym słowem trzeba upowszechnienia kultury. Bez tego nie może być mowy o dalszym rozwoju wsi polskiej. Rozumieją to zresztą dobrze sami chłopi. To, co jest najbardziej pocieszającym zjawiskiem na wsi polskiej, to ogromny pęd do oświaty, ogromny pęd do kultury. Głód kultury jest niemniejszy, niż głód ziemi. Przykładem tego może być akcja radiofonizacji wsi. W ciągu jednego miesiąca zradiofonizowanych zostało około 1.000 wsi w dużej mierze dzięki niezwykłemu zapałowi i aktywności chłopów zorganizowanych w społecznych komiteach radiofonizacji, którzy sami dostarczali słupów, sami wbijali je w ziemię, sami pomagali w przeprowadzanu instalacji itd. itd. Ekipy radiofoniczne były wszędzie oblegane przez chłopów i niejednokrotnie zmuszane do radiofonizowania wsi nie przewidzianych planem.

Podobnie zresztą kina objazdowe cieszą się na wsi ogromnym powodzeniem. Lecz niestety, trzeba stwierdzić, że wysiłki nad upowszechnieniem kulury na wsi są niewspółmierne nie tylko w stosunku do potrzeb ale i do możliwości. Przemiany ekonomiczne i polityczne odbywają się u nas znacznie szybciej i sięgają głębiej niż przemiany kulturalne. W rezultacie odcinek kulturalny jest stosunkowo bodaj najbardziej zacofany i, powiedzmy otwarcie, zaniedbany w naszym życiu narodowym. Stwarza to niebezpieczeństwo nowych nożyc pomiędzy ekonomiką a kulturą, które, jeśli nie zostaną zwarte możliwie szybko, mogą poważnie zahamować dalszy nasz rozwój. Jest to zresztą zjawisko zrozumiałe. Taki już jest porządek rzeczy, że przekształcenia ekonomiczne odbywają się szybciej niż zmiany w świadomości ludzkiej. Kultura z reguły nie nadąża za ekonomiką w takich okresach historycznych jaki dziś przeżywamy i nie ma w tym nic tragicznego. Ale tym większe powinny być wysiłki, aby to zacofanie nadrobić. I smutny u nas jest przede wszystkim ten fakt, że nie zdobyliśmy się dotychczas na taki rozmach, na taką ofenzywę, na taką wielką planową akcję w dziedzinie upowszechnienia kultury, jak przy przeprowadzaniu reformy rolnej, czy odbudowie przemysłu. Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego mogliśmy się zdobyć na 3-letni plan odbudowy przemysłu i realizować go konsekwentnie, a nie słychać jakoś do dnia dzisiejszego o 3-letnim planie odbudowy naszej kultury, upowszechnienia kultury: o szerokim planie tanich wydawnictw najlepszych dzieł naszej literatury narodowej, o planie radiofonizacji, kinofikacji, teatrów dojazdowych dla wsi, itd. itd.? Nie tylko, że niema takiego planu, ale wogóle zagadnienie to nie zostało postawione i, co gorsze, nie ma takiego ciała, które zajmowałoby się całokształtem tego zagadnienia, planowaniem i czuwaniem nad realizacją tego planu. A od tego bodaj trzeba zacząć. Lecz wnioski zostawmy na koniec i przejdźmy do punktu drugiego.

Dotarcie sztuki do szerokich mas, jej demokratyzacja, upowszechnienie, to warunek konieczny, lecz nie wystarczający. Aby sztuka mogła oddziaływać na naród, mogła go mobilizować, konieczne jest, aby treścią swoją była ściśle związana z życiem narodu, aby żyła tym, czym naród żyje, aby stawiała i rozwiązywała te zagadnienia, które nurtują ludzi, aby nie omijała najbardziej podstawowych bolączek. Tylko takie dzieła sztuki mogą oddziaływać na ludzi, mogą trafić do ich umysłów, mogą ich przekonać, mogą ich porwać, wstrząsnąć nimi i znaleźć szeroki rezonans. Jednym słowem, spełnić swoją funkcję społeczną. Inaczej pozosaną bez echa, bez poważniejszego wpływu, na

marginesie życia. Błędem byłoby oczywista wyciągać z tego wnioski, że chcemy gwałtem wepchnąć sztukę w wąskie koryto aktualności i wystarczy raz jeszcze powołać się choćby na Mickiewicza, jako przykład tego właśnie silnego zrośnięcia sztuki z życiem narodu. Nie ma zresztą prawdziwego, wielkiego dzieła sztuki, które by tego warunku nie spełniało. Z tego założenia wynikają również pewne założenia w stosunku do formy. Aby dzieło literackie mogło trafić do serca i umysłu człowieka, mogło na niego oddziałać. musi być napisane językiem i stylem dla ludzi zrozumiałym, dostępnym i przekonywującym. Największy nawet majstersztyk pod względem kunsztu pisarskiego bez spełnienia tego warunku nie może znaleźć szerszego oddźwięku społecznego, a jego oddziaływanie ogranicza się tylko do wąskiego koła smakoszów literackich. Nie wynika z tego bynajmniej, że występujemy tutaj jako szermierze jednego tylko stylu — realizmu. Każdy styl jest dobry, byle tylko mógł trafić do ludzi, a ponieważ społeczeństwo ludzkie to twór bardzo zróżniczkowany i nie do każdego człowieka, nie do każdej grupy ludzi można trafić tym samym stylem, tym samym językiem, tymi samymi argumentami, więc choćby ten fakt warunkuje społecznie różnorodność stylów i form literackich. Ale jest to zagadnienie odrębne, którego tutaj nie będziemy rozwijać.

Jeśli spojrzymy przez pryzmat postulatu treściowego związania sztuki z narodem na życie artystyczno - literackie w Polsce odrodzonej, to przedstawi się nam obraz bynajmniej nie wesoły. Nie było bodaj w ostatnich dwu latach dzieła literackiego czy sztuki teatralnej, które stałoby się poważnym wydarzeniem, znalazło szeroki oddźwięk w społeczeństwie, wywołało dyskusję, polemikę, jednym słowem dzieła, które by w poważniejszym stopniu oddziałało na społeczeństwo. Wydaje się, jakby życie szło swoją drogą, a literatura i sztuka — swoją, i powiedzmy odrazu, starą, utartą drogą. Uderza tu to samo zjawisko, o którym mówiliśmy przy upowszechnieniu sztuki: jakby zacofanie w swojej treści, nienadążanie za życiem. Cóż np. zmieniło się w naszych teatrach pod względem doboru repertuaru, inscenizacji, gry aktorskiej itd. itd. od czasów przedwojennych, prócz tego, że teatry stoją na ogół na niższym poziomie z powodu strat poniesionych w okresie okupacji? Czy zaszły jakieś poważniejsze zmiany pod względem formy i treści w naszej literaturze powojennej? Raczej niewielkie. Za mało, wyraźnie za mało w naszym życiu literackim świeżego powietrza, nowych idei, młodzieńczego rozmachu, pędu i walki, za mało nowego życia. Wydaje się, jak gdyby nasi twórcy, nasi literaci o dużym nieraz talencie i możliwościach twórczych nie byli dostatecznie związa-

ni z nową rzeczywistością, nie mogli sobie w niej znaleźć własnego miejsca, własnej drogi i zamykali się w ciasnych ramach swojego podwórka, domu literackiego. Stąd może brak ducha ofenzywy, ducha walki o nową Polskę w naszej literaturze i sztuce i tu bodaj należy szukać głównych przyczyn, dla których nie spełnia ona w dostatecznym stopniu swej funkcji społecznej, mobilizacji wysiłku narodu do wykonania tych podstawowych zadań.

Czas podsumować te wywody i wyciągnąć wnioski. Teza zasadnicza: odcinek literacko - artystyczny, odcinek kultury jest poważnie zaniedbany i zacofany. Wniosek zasadniczy: trzeba te zaniedbania naprawić i zacofanie zlikwidować. Jak? Szereg konkretnych wniosków wpływa z dotychczasowych wywodów, nie będziemy ich tutaj formułować i powtarzać. Nie będziemy też rozwijać całego programu naprawy, nie to jest bowiem celem naszego artykułu. Postawmy tylko pytanie: od czego zacząć? Za jakie podstawowe ogniwo uchwycić? Naszym zdaniem, należałoby zacząć od góry, od stworzenia organu, który by zajął się wyłącznie całokształtem naszego życia kulturalnego, jego odbudową i rozwojem, który by zakreślił odpowiedni plan i czuwał nad jego realizacją. Musiałoby być to ciało dostatecznie szerokie, aby w skład jego weszli przedstawiciele wszystkich instytucyj i zrzeszeń, wszystkich żywych sił, które kulturę naszą rzeczywiście budują i tworzą, ciało dostatecznie autorytatywne i wyposażone w atrybuty władzy, aby decyzje jego były obowiązujące.

Mogłaby to być na przykład Państwowa Rada Kultury, w skład której weszliby ministrowie: Oświaty, Kultury i Sztuki, Informacji i Propagandy, kierownicy takich instytucji jak Film Polski, Polskie Radio, „Czytelnik" i innych wydawnictw, lub przedstawiciel zrzeszenia wydawnictw, jak również przedstawiciele: Związku Zawodowego Literatów, Muzyków, Dziennikarzy, Plastyków itd. Wszystkie podstawowe zagadnienia, tyczące kultury, byłyby tam decydowane i omawiane. Dyspozycja podstawowymi środkami musiałaby być również w rękach tego organu. Głównym plusem stworzenia takiego organu byłaby centralizacja i koncentracja wysiłków na froncie kulturalnym, co zaoszczędziłoby wiele energii i środków, zmarnowanych z przyczyny dotychczasowego rozproszkowania. Lecz przedewszystkim to, że powstałoby nareszcie jakieś ciało, którego jedynym celem byłoby poważnie i na serio zająć się całokształtem zagadnień kultury.

Prawdopodobnie udałoby się również w ten sposób uprościć administrację. Być może, należałoby zlikwidować lub zredukować niektóre instytucje ministerstwa, a inne zreorganizować.

Nie czas zresztą w tej chwili na detale i nie o to chodzi, by forsować myśl stworzenia Państwowej Rady Kultury, czy innego podobnego organu. Chodzi o to, by zwrócić uwagę na stan zaniedbania i zacofania na odcinku kultury i na niebezpieczeństwo, jakie z tego stanu rzeczy wynika dla naszego dalszego rozwoju. Chodzi o to, by ludzie zaczęli się zastanawiać, zaczęli myśleć, jak ten stan rzeczy naprawić „Caveant consules!"

Wracamy więc do wniosku podstawowego: trzeba naprawić zaniedbanie, trzeba zlikwidować zacofanie i trzeba do tej trudnej pracy wziąć się niezwłocznie, albowiem: „periculum in mora".

Dr HENRYK JABŁOŃSKI

Na nowej drodze

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wyszła spora, bo 98 stron druku licząca, broszura wiceprezydenta K.R.N., Stanisława Grabskiego, p. t. „Na nowej drodze dziejowej". Wprawdzie autor zastrzega się, że praca jego nie ma charakteru urzędowego ani partyjnego, a wyraża jedynie jego osobiste poglądy, nie mniej jednak trudno wyjść z podziwu, że w dzisiejszej Polsce, Polsce zwycięstwa mas ludowych, w Polsce, w której dwie partie, oparte o doktrynę socjalistyczną, wkładają największy wysiłek w rekonstrukcję kraju — w tej Polsce Państwowy Instytut Wydawniczy wydaje broszurę, która w olbrzymiej części jest apoteozą endeckiej przeszłości, w pozostałej zaś daje odpowiedź na pytanie: „Jak stara endecja pragnęłaby urządzić się w ramach dzisiejszej rzeczywistości". Rozumiem, że ta druga część broszury jest dla wielu aktywnie działających polityków ciekawa, ale na to nie trzeba chyba wydawać w tysiącach egzemplarzy broszury p. Grabskiego, głoszącej, że w okresie rozbiorowym „naprawdę rozumną, bo dała doskonałe skutki, była jedynie polityka krakowskich konserwatystów, t. zw. „stańczyków", na końcu sześćdziesiątych lat oraz w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku, a także Romana Dmowskiego — między 1905 a 1919 r."

Czyżbyśmy w odrodzonej Rzeczypospolitej mieli wychowywać szerokie rzesze polskie nie w tradycji ponadludzkiego bohaterstwa bojowców Polskiej Partii Socjalistycznej, nie w tradycji klasowych walk całego polskiego proletariatu, wy-

kuwającego drogę nowej, sprawiedliwej, chciałoby się powiedzieć: dzisiejszej Polsce, ale w tradycji uwielbienia dla jego klasowego i politycznego wroga? A więc bojownicy o dzisiejszą Polskę to nie Waryński, Okrzeja, Kasprzak, ale u habsburskiego tronu wieszający się stańczykowie i wódz narodowej demokracji, ojciec duchowy O. N. R.'u — Roman Dmowski?

Cytata o mądrości polityki Dmowskiego nie jest jedyną, jaką moglibyśmy przytoczyć. Może więc warto przypomnieć, na czym ta mądrość polegała w istocie? Żeby nie być posądzonym o złośliwą stronniczość, sięgnijmy do samego mistrza.

Do swoich wahań i zmian orientacji, tak w polityce zewnętrznej, jak wewnętrznej, nie przywiązywał Dmowski zbytniej wagi, bo były to rzeczy taktyki tylko, nakazywał je doraźny interes jego **klasowego ruchu.** Z dumą spoglądając na swą przeszłość, tak w chwili szczerości tłumaczył Dmowski swym wiernym rolę kierowanego przez siebie stronnictwa: „Jest cała sfora ludzi w naszym kraju, która, oceniając historię naszego najnowszego ruchu narodowego, tak się zapatrzyła w nasz stosunek do rządu, iż nie widzi wcale, **że ten ruch narodził się i rozwinął w walce z socjalizmem,** że jego walką, to była przede wszystkim walka z partiami socjalistycznymi o duszę młodzieży, o dusze ludu... W tym jest główna rola tego ruchu, a nie w tym, jakie on na rządzie robił wrażenie. Ja sam należałem do młodzieży, która organizowała manifestacje 3 Maja 1891 r., siedziałem za tę sprawę w Cytadeli warszawskiej i wiem dobrze, jakimi pobudkami kierowali się organizatorzy. Chodziło o to, żeby młodzież, która była pod urokiem bohaterstwa przywódców kosmopolitycznego socjalizmu... oderwać od socjalistycznego prądu, żeby ją pociągnąć w kierunku, w którym będzie szła ze społeczeństwem, a nie przeciw niemu... Myśmy wiedzieli, że trzeba iść do Cytadeli, bo tylko za tę cenę kupimy sobie w oczach ówczesnej młodzieży dyplom na jej moralnych kierowników. Myśmy zrozumieli, że silnego prądu nie można zwalczyć narzekaniem i oskarżeniami, że nie wystarczy nawet ostra krytyka, że trzeba silniejszy prąd w przeciwnym kierunku wytworzyć".

A gdyby się tak Dmowski jeszcze w swych wspomnieniach pogrzebał, to znalazłby w nich nie tylko dywersyjne, pseudopatriotyczne manifestacje, ale i rzeczy poważniejsze. Zobaczyłby krew bratnią robotniczą na rękach działaczy tzw. humorystycznie „narodowej demokracji". O dowody nie trudno. Wystarczy zajrzeć do prasy z lat rewolucji 1905—1906.

I nic tu dzisiaj nie pomogą żadne łamańce frazeologiczne o zagranicznej polityce Dmowskiego, którą wielu chce dziś

chwalić, pomijając politykę wewnętrzną. Nie pomogą, bo zorganizowani przez endecję „ludzie do czynnej walki z rewolucją" tępili z równą gorliwością niepodległościowych pepesowców, jak i socjaldemokratów, bazujących swą działalność na związku z Rosją. Nie mieli więc racji polscy rewolucjoniści, opierający się na bratnim sojuszu z rewolucjonistami rosyjskimi, którzy stworzyli dzisiejszą Rosję, ale walcząca z tymi rewolucjonistami endecja, ugodowa wobec caratu, przez tę dzisiejszą Rosję powalonego. Czyżby w ten sposób nasi dzisiejsi propagandziści i politycy chcieli trafiać do szerokich mas polskiego narodu? Czy rzeczywiście sojusz polsko - radziecki to dla nich dalszy ciąg ugody Wielopolskich, Dmowskich itp. — jak to mi usiłował tłumaczyć pewien wysoko dziś stojący polityk? Czy też sojusz ten wywodzi się z najlepszych niepodległościowych, wolnościowych i proletariackich tradycji? Pytanie to nie jest retoryczne, bo odpowiedź na nie pociąga dalsze konsekwencje. Przecież to dlatego, że nie umiano tego problemu przeanalizować, znaleźli się w Polsce ludzie sądzący, że Związek Radziecki gotów oprzeć się na... P. S. L.

Coś w tym wszystkim dla przeciętnego Polaka musi być niezrozumiałe. Wystarczy bowiem ogłosić, że jest się zwolennikiem sojuszu polsko-radzieckiego, że akceptuje się granice wschodnie, aby już poza zasłoną tych twierdzeń głosić wszystko, co dusza zapragnie. Można przekreślać wszelkie inne zdobycze nowej Polski, można szerzyć najgorszą, najniebezpieczniejszą dla tej nowej Polski propagandę.

Krytykować książeczkę p. Grabskiego, to stronica po stronicy ją cytować i komentować. Czy nie byłoby jednak zbędną robotą zastanawianie się nad taką np. złotą myślą: „Wielki rozum Dmowskiego oraz wyjątkowa popularność w obozie alianckim Paderewskiego nie wystarczyły dla przekonania twórców traktatu wersalskiego, **że dziejowa sprawiedliwość wymaga przywrócenia Polsce ziem oderwanych od niej podczas rozbiorów nie tylko przez Prusy i Austrię, ale również przez Rosję".**

Zdań o równym „ciężarze gatunkowym" praca p. Grabskiego zawiera bardzo bardzo wiele. Czy w tych warunkach wydanie jej nie należy uznać za nieporozumienie?

Dla uniknięcia nieporozumień stwierdzić pragnę, że tu nie chodzi o krytykę działalności, tej czy innej instytucji państwowej, bo to zagadnienie drugorzędne i przy bliższym zbadaniu może trudno będzie kogoś oskarżać, ale o klimat polityczny, w jakim się ukazała i oddźwięki, jakie musi wywołać.

Nie chcę, nie znając sprawy, czynić zarzutów dyrekcji P.I.W. Może z tych czy innych względów musiała to zrobić. Ale P.I.W. jest organem Ministerstwa Informacji i Propagandy. Czy dla takiej informacji i dla takiej propagandy jest powołany? Czy Nowa Polska nie wykazałaby dostatecznej tolerancji, pozwalając prof. Grabskiemu wydać jego broszurę u prywatnego nakładcy?

Takie są pierwsze pytania, narzucające się po przeczytaniu pracy prof. Grabskiego, ale chyba nie najważniejsze. Inne refleksje wiążą się z zagadnieniami szerszej natury.

Przed niedawnym czasem Stefan Żółkiewski słusznie podniósł problem pierwszorzędnej wagi: ubóstwo pracy teoretycznej w obu partiach robotniczych. Dodajmy do tego lekceważenie historii i doświadczeń tej przeszłości, która dzisiejszą rzeczywistość zrodziła. Coraz większy mają głos ci, co zapominają, że ta „nowa droga" jest nową tylko w znaczeniu państwowym. Ale przecież państwo w innych znalazło się rękach. Przekreślanie własnej, proletariackiej tradycji przez odrodzoną Rzeczpospolitą, to groźba dla jej „nowej drogi", większa niż wszystkie WIN-y i NSZ-y. A mamy świadectwa niezrozumienia tej wspólnej, proletariackiej przeszłości nawet i wewnątrz ruchu robotniczego.

Nie chciałbym w tym artykule rozpoczynać dyskusji na te najważniejsze dla naszej przyszłości tematy, ale wciąż mi się wydaje, że problemy personalne i trudności chwili bieżącej często przesłaniają to, co najistotniejsze. W niekończących się dyskusjach na temat partyjnej przynależności burmistrza miasta Grajdołka, czy na odmianę w powtarzaniu frazesu „o jedności" — nowej, jednej drogi w przyszłość nie stworzymy. Będą ją narodowi wskazywać ci, co z przeszłości „wspaniałej" polityki Romana Dmowskiego biorą natchnienie.

HENRYK SMUGA - ŁADOSZ

Edward Szymański — poeta polskiego proletariatu

Widzę go wciąż, jak żywego. Typ — z pierwszomajowego plakatu. Młoda postać robotnika o ruchach marynarza. Piękna blada twarz o ciemnych smutnych oczach. I pełen prostoty, dziecinny niemal, chwytający za serce uśmiech. Blond włosy z charakterystycznym, uparcie spadającym na czoło kosmykiem

Był obdarzony wielką siłą fizyczną i ciężko chorował na serce. W mowie jego odczuwało się charakterystyczny akcent wolskiego robotnika. Ten sam charakter przebijał i w sposobie, w jaki poeta podawał rękę przy powitaniu. Dodać należy, że właściciel ściskanej przezeń dłoni z trudem hamował krzyk.

Tak oto w nieporadności i smutku pragnęłoby się przywołać postać poety i przyjaciela.

Kiedy wybuchła wojna, Szymański miał zaledwie 32 lata (urodzony w 1907 roku). Od 1 i pół roku mieszkał już na wsi. Rzecz charakterystyczna, że ten najniewątpliwszy poeta proletariatu, dziecię Woli, syn metalowca, starego członka PPS-u, tow. Antoniego Szymańskiego, ogromnie garnął się do wsi. Dzięki zabiegliwości żony poety, Natalii, Szymańscy stali się w 1938 roku właścicielami niewielkiego 3-pokojowego domku *) we wsi Drgiczu na pograniczu wsi Stoczek, powiatu Węgrowskiego. Domek ten był schronieniem poety w ostatnich latach jego życia. Na jednomorgowej piaszczystej parcelce uprawiał Szymański gorliwie ogrodnictwo, odpoczywając po szybkim zmęczeniu pod jedynym na całej parcelce drzewem—piękną starą gruszą.

Sielanka ta była — niestety — i niedługa i niezupełna. Krótki okres dowojenny odznaczał się niedostatkiem. W okresie wojennym niedostatek został uzupełniony niepokojem.

We wrześniu 1939 roku poeta w czasie nocnej wędrówki rowerem za Bug został najechany przez samochód wojskowy i doznał pęknięcia i wgniecenia czaszki: Po dwutygodniowym leżeniu w Sokołowie Podlaskim i w okolicach Siemiatycz wrócił pieszo do domu, gdzie przez pół roku nie opuszczał łóżka.

W początkach października tegoż roku ktoś z licznych uciekających podówczas za Bug doniósł sztabowi wojsk radzieckich

*) Spalony przez Niemców podczas ofensywy radzieckiej w 1944 r.

w Białymstoku o wypadku, jaki spotkał poetę. I oto pewnego dnia przed dom Szymańskich zajechało wojskowe radzieckie auto, a jego załoga zaproponowała przewiezienie rannego do szpitala w Białymstoku. Jednak wobec stanu zdrowia poety okazało się to niemożliwe.

Szymański zostaje w domu. W grudniu 1940 roku poddaje się trepanacji czaszki, ale już nie odzyskuje swego przedwojennego stanu zdrowia.

Otoczony opieką i miłością żony, córki i syna żyje wśród nieustannie nurtującego go lęku. Reakcyjne, tępe, mieszczańskie środowisko małomiasteczkowe wie przecież, że Szymański i jego rodzina, to „komuniści".

Do tego — mimo niebezpieczeństwa i podejrzeń — dom Szymańskich jest stałą przystanią emisariuszy z za Buga. Tu mieszka przez dłuższy czas Teodor Duracz z rodziną, tu znajduje schronienie Benedykt Hertz, tu gości znakomity uczony i podróżnik Antoni Bolesław Dobrowolski. Tu wreszcie zainstalowany zostaje radiowy punkt nadawczo - odbiorczy, funkcjonujący sprawnie przy pomocy Faustyna Ładosza oraz Wandy i Heleny Ładoszowych. Główny technik tej radiostacji Sylwester Marosz, bojownik radziecki, mieszka tu przez cały rok, by potem, po przeniesieniu swej działalności do Warszawy, zginąć w grudniu 1943 roku wśród rozstrzeliwanych na ulicach Polaków za wspólną sprawę wolności.

Taka jest atmosfera domu Szymańskich w 1940, 1941 i 1942 roku. W takiej atmosferze Edward Szymański, polski socjalista i poeta proletariatu, jeden z pierwszych realizuje wraz z Teodorem Duraczem jednolity front w ostatnich dniach swego żywota: Ta jego przedśmiertna droga i praca jest ostatnim wskazaniem i ostatnim zdaniem w płomiennym testamencie poety.

Trzeba dodać gwoli ścisłości, że w owych dniach zatarł się wszelki kontakt Pużaków i Zarembów z czołowym poetą polskiego proletariatu.

W tym okresie pisze Szymański niewiele. W konspiracyjnych pismach ukazuje się tylko jeden jego wiersz, poświęcony Warszawie. Miał to być wstęp do większego poematu o stolicy. Niestety, rękopis ten, przewieziony przez niżej podpisanego do Warszawy, został spalony w czasie powstania, a tekstu drukowanego dotąd nie udało się znaleźć. W trakcie tej swej działalności politycznej, Szymański poznaje nowe środowisko, środowisko wiejskie. Przyjaźni się z chłopem - komunistą, Lucjanem Russjanem, wydanym potem przez NSZ i zamordowanym okrutnie przez żandarmów niemieckich.

Wiele pierwiastków z jędrnej gwary podlaskiej wzbogaca w tym czasie słownik poetycki Szymańskiego. Dużą rolę odegrała w tym matka żony poety, podlaska chłopka o ciekawej indywidualności.

W lipcu 1942 roku Gestapo usiłuje dokonać pierwszych aresztowań wśród rodziny Szymańskiego, który jest przy tym stale szantażowany przez niejakiego Skrzypczaka, szpicla dwójki na terenie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej za czasów sanacyjnych i agenta Gestapo za okupacji *). Szymański czuje się osaczony. Ukrywa się najpierw u swego szwagra, Faustyna Ładosza, potem w okolicznych wsiach: Międzylesiu, Wrotnowie i Majdanie. Kiedy jednak najbliżsi uznali dotychczasowe schronienie za niewystarczające, uchwalono umieścić poetę we wsi Pniewnik, pow. radzymińskiego, odległej o 22 km. od Drgicza.

Kilkomiesięczny pobyt poety w odgrodzonej od świata wsi, w atmosferze życzliwości i szacunku chłopów, a szczególnie gospodarzy, u których mieszkał, przynosi poecie upragnione uspokojenie i powrót do tworzenia. W liście do przyjaciół z „któregoś tam maja 1943 r." pisze:

„Bo ma się przecież 36-ty rok życia! I jakże mało się zrobiło. Tylko mam tę głęboką pewność, że byle zdrowia trochę starczyło, odegram się jeszcze... A ja już dłużej tak nie wytrzymam. Powiedz, Krysiu, kiedy wracać?"

Odpowiedź już go nie zastała. Ponurzy rodzimi zbrodniarze z pod znaku NSZ wydali „komunistę", współpracownika Wandy Wasilewskiej z „Płomyka". 9 czerwca w niedzielny poranek obstawili gestapowcy chałupę.

Kiedy wyprowadzono skutego poetę, chłopi odważyli się głośno sarkać: „...tyle złodziejów chodzi cało, a uczciwego człowieka kujecie w kajdany"... Chłopów było za dużo, Niemiec łagodnieje wobec siły. Rozkuto Szymańskiego, wsadzono na podwodę... zabrali wszystkie rękopisy... Wóz ruszył.

W kwadrans potem przybyła na rowerze żona poety. Dowiedziawszy się co zaszło ruszyła w ślad. W pobliskim lesie znalazła się o kilkaset metrów od podwody. Około trzydziestu ludzi ostrzeliwało wóz i trzech gestapowców, uwożących poetę. W pewnym nawet momencie gestapowcy opuścili podwodę i schronili się w przydrożnym rowie.

Nagle ostrzeliwanie ustało. Zaindagowani przez Szymań-

*) Po wydaniu kilku działaczy podziemia zginął z wyroku R.P.P.S. od kuli bojówki.

ską ostrzeliwujący wyjaśnili, że zabrakło im nabojów. Podwoda odjechała.

Do dziś niewiadomo, czy to była nieudolność, czy prowokacja.

Na Pawiaku siedział poeta 3 miesiące. We wrześniu został przewieziony do Oświęcimia. Był chory na serce, podlegał zapaleniom stawów i częstemu przeziębianiu się. Zresztą po przebytej trepanacji, nigdy nie odzyskał swych dawnych sił.

Listy jego z Pawiaka i Oświęcimia były krótkie, niemal surowe. W ostatniej karcie polecał wyprzedać wszystko i przysyłać mu owoce, galaretki... Był chory na zapalenie płuc. Jeden ze współwięźniów w Oświęcimiu napisał do swej żony: „...piszesz mi, Moja Droga, że umarł Edward Szymański na zapalenie płuc, - proszę Cię, złóż wyrazy współczucia jego małżonce..."

Gestapo w Sokołowie Podlaskim zawiadomiło Szymańską, że mąż jej umarł 15 grudnia 1943 r. na zapalenie płuc.

Dotąd nikt z jego oświęcimskich towarzyszy nie przyniósł szczegółów śmierci poety.

Taka jest pokrótce historia ostatnich kilku lat życia poety polskiego proletariatu, Edwarda Szymańskiego. Opis całego jego życia i ukazanie całej jego twórczości pozostaje zadaniem na przyszłość.

Tym bardziej, że o tym, najbardziej popularnym wśród klasy robotniczej poecie wie się chyba najmniej.

Tyle wiadomo, że żył. Wiadomo, że umarł. Nieco więcej wie o nim szczupłe grono najbliższych przyjaciół i znajomych. O twórczości jego pisano mało. A nie ma chyba w Polsce ani jednego środowiska robotniczego, w którym by nie recytowano i nie inscenizowano jego utworów. Żadna z grup poetyckich nie przyznawała się do niego, on nie przyznawał się do żadnej grupy. Próżno by kto szukał choćby jednego jego utworu w „Wiadomościach Literackich" lub „Skamandrze" *). A sanacyjna cenzura umiłowała sobie poetę szczególnie.

To też wśród fraszek z 1941 r. zatytułowanych zbiorowo „Vitium cordis" znajdujemy taki „projekt własnego nagrobka":

„...nie chciał uwielbiać Kadena,
słusznie go nie uznała wielkiej krytyki arena,
Tyrał w „Płomyku" i w „Społem" resztę pisania skrewił,
bo większość zjadła cenzura. Sit ei terra levis!".

---

*) Z wyjątkiem jedynego fragmentu tłumaczenia „De rerum natura" T. Lucretiusa Carusa.

Był najwybitniejszym poetą - spółdzielcą. „Społem" zapomniało o nim w czasie wojny. Był przez 5 lat członkiem redakcji „Płomyka" i innych czasopism ZNP — nie znaleziono powodu do pomagania mu w czasie okupacji, gdyż nie był nauczycielem.

Zbierane pieczołowicie przez żonę wycinki wszystkich drukowanych utworów, zakopane w 1939 roku, zgniły po 5-letnim przebywaniu w ziemi.

Zanim się więc dokona podjęta praca zebrania całego dorobku poety — trudno się zorientować w zasięgu i ważności jego dzieła. To pewna, że trzy wydane tomiki (z tych pierwszy p.t. „20.000.000" — skonfiskowany), zawierają zaledwie cząstkę jego twórczości i to cząstkę nie zawsze trafnie wybraną. Ogromna większość utworów jest rozproszona po licznych czasopismach. Wiele z tych wierszy weszło w skład klasycznego repertuaru polskiej poezji robotniczej, a słowa napisane pod melodię pieśni z filmu radzieckiego „Świat się śmieje" *), stały się swego rodzaju hymnem młodzieży robotniczej.

Odegrał przy tym Szymański jedyną w swoim rodzaju rolę. Rolę pioniera poezji wśród proletariatu. Można rzec, że to Szymański nauczył robotników czytać wiersze, cenić rolę poezji w walce i pracy. To też popularność jego dzieła była i pozostała ogromna. W wielu swych utworach jest on budzicielem godności i dumy klasy robotniczej. Szczególnie pięknym wierszem jest jego „Oda do mojej córki".

Urodzony na Woli, na Woli spędził dzieciństwo i młodzieńcze lata. Na Woli zaczął pisać. Kochał tę najdumniejszą z robotniczych dzielnic Warszawy. Kiedy jeden z młodych poetów opisał dość landrynkowo tę bojową i bohaterską dzielnicę — Szymański odpowiedział mu godnie a ostro:

WOLA

Przyjechało toto tramwajem
i taniutko i za groszy dwadzieścia
Zerknie sobie, gdzie tramwaj staje
I już gotów epos przedmieścia.

„Robotnice" rymuje z „ulice",
Księżyc bokiem mu wylazł z zaułka,
Piti-piti o Woli świergoli
Wątła muza, wierszoróbi spółka.

---

*) „Zdobywczym krokiem ruszamy w daleki świat"...

Bo na Woli jest pieśń nie taka
i nie taki do fabryk rym,
jaki spija z herbatką Sim *)
i łaskawa publiczka Zodjaka **)
Każdy dzień robociarza z Gazowni
od Lilpopa, Gerlacha, z przędzalni
to nie tango, koleżko szanowny,
ani walczyk sentymentalny.
To nie izby wiejskie, to — nory,
to nie dym tak ładnie furkoce,
to zdychają zmęczone wieczory
nienawykłe doli roboczej.
W oczach dziewcząt nie kwitną chabry,
ani inne niezapominajki,
one płoną w lokauty i strajki
poprzez mury warsztatów i fabryk.
Tu nie księżyc wyciera kąty,
do bram nocą w ulicach pustych
bije rok tysiąc dziewięćset piąty
osiemnasty, dwudziesty szósty.
Za progami, koleżko łaskawy,
gdzie tak wątło osobie i mdło,
bije serce roboczej Warszawy
nie błękitną — czerwoną krwią.
I po kiego łaskawca się pętasz
aż za plant, aż za Wolski cmentarz
poematy pisz pan, ach, pisz pan!
trochę lepsze rymy pan rób
i niech sławi cię wdzięczna ciżba
od Ziemiańskiej *) po Cafe Club *).
Cacy, cacy! — wierszyk o Woli!
Bardzo grzecznie mówimy: dia!
A dla Woli — osoba pozwoli —
W dalszym ciągu będę pisał ja!

Niestety! w dzisiejszych naszych pracach i walce zabrakło pieśni tego poety. Zabrakło nam jego wyrazu, jego słowa w hołdzie dla poległych bojowników i w czci dla bohaterów pracy.

Niemałym tytułem do sławy poetyckiej Edwarda Szymańskiego jest przekład „De rerum natura" Titusa Lucretiusa Carusa. Jedyny egzemplarz tego przekładu udało się uratować

*) Modne przedwojenne kawiarnie warszawskie.

z pożogi wojennej. Jest to rezultat 5-letniej pracy poety, a charakter tej pracy pozwala ją określić jako arcydzieło. Sądzić należy, że w związku z niedawną rocznicą śmierci T. Lucretiusa Carusa dzieło to wkrótce zostanie wydane.

Wśród szeregu poważnych utworów na tematy spółdzielcze należy przypomnieć śliczną i wartościową książkę spółdzielczą dla dzieci pt. „ABC”. Zresztą w twórczości Edwarda Szymańskiego utwory dla dzieci stanowią pozycję bardzo dużą i bogatą. A co chyba najważniejsze — wiersze te są bardzo lubiane przez dzieci.

Osobną również pozycję w dziele Szymańskiego stanowią jego prace poetyckie dla związków zawodowych, szczególnie dla Związku Kolejarzy, gdzie poeta przez cały szereg lat współpracował literacko ze swym przyjacielem Janem Pokorskim, powieszonym przez okupantów wśród 50-ciu w dniu 16 października 1942 r. Znakomity muzyk, kompozytor i znawca pieśni ludowej, profesor Tadeusz Mayzner, ułożył szereg ślicznych piosenek dla dzieci do słów Edwarda Szymańskiego, którego współpracę cenił sobie szczególnie. Najpopularniejszą z tych piosenek jest pełen wdzięku walczyk mazowiecki „Przyleciał ptaszek z Łobzowa”. Jest też Szymański autorem szeregu pieśni robotniczych.

Wreszcie niemałym dorobkiem w twórczości poety jest satyra. Kilkoletnią współpracą w „Szpilkach” zdobył sobie Szymański stanowisko jednego z czołowych satyryków tego pisma.

Wybuch wojny zahamował twórczość poety, który miał wówczas lat 32. Przestał pisać w okresie, w którym można było oczekiwać jego największego rozwoju. Z dorobku wojennego poety zostało niewiele. Pisał mało, a — wobec licznych aresztowań w najbliższej rodzinie — wiele rzeczy zostało zniszczonych. Plon zaś pracy z ostatnich miesięcy, plon ponoć bardzo obfity, został zabrany przez Gestapo i prawdopodobnie zniszczony. Zebranie całego dorobku literackiego Edwarda Szymańskiego i wydanie wszystkich dzieł tego poety jest sprawą ważną dla klasy robotniczej Polski. Pieśń tego poety narodziła się w walce. Walka ta trwa nadal. A pieśń krzepi również mocno w walce jak i w pracy. W pieśni zaklęta jest wielkość naszych zmagań i naszego trudu. Pieśń uczy nas tej wielkości i do niej porywa. Pieśń wreszcie jest unieśmiertelnieniem bohaterstwa klasy robotniczej.

Tow. Natalia Szymańska, wdowa po Edwardzie Szymańskim, gorąco prosi o nadsyłanie wszelkich wycinków czy odpisów utworów poety pod adresem: Warszawa, Saska Kępa Obrońców 29 m. 1. Henryk Smuga-Ładosz.

EDWARD SZYMAŃSKI

Wiersze

WRÓŻBA

Quod medicamenta non curant —
ferrum curat. Et quod ferrum non
sanat — sanat ignis.

Idzie krzyk,
bije krzyk do twojego mieszkania.
Ściany i dach ci zdmuchnie.
Który przed dniem dzisiejszym milczeniem się zasłaniasz—
ogłuchniesz.
Idzie blask,
Bije blask w stu czerwonych językach.
W jedno słońce śnieżyste krzepnie,
Który przed dniem dzisiejszym żywe oczy zamykasz —
oślepniesz.
Nie twój ból, zakopany w glebie dynamitowej,
wybuchnie w onej godzinie.
Który przed dniem dzisiejszym w piasek ukryłeś głowę —
zginiesz.
Który — krom śmierci — wszystko w dniu dzisiejszym
mieścisz —
ogień ciebie uzdrowi,
przemieni.
Na hojne szafowanie śmiechu i boleści
wstań z ziemi!

TITUS LUCRETIUS CARUS „DE RERUM NATURA"

Inwokacja z 1-ej księgi — tłomaczenie Edwarda Szymańskiego

Rzymian pramatko, Wenus! Bogów i ludzi kochanko,
co każesz świecić na niebie gwiazd migotliwych kagankom,
drogę znacząc żeglarzom żyzną rozjaśniasz niwę
i sama dając początek wszystkiemu, co wkrąg żywe,
boskie słoneczne światło każesz źrenicom ujrzeć!
Przed tobą, jasna bogini, uchodzą wichry i burze.
Tobie przemyślna ziemia pod stopy kwiaty rozściela,
do ciebie wód błękitem śmieje się gładki ocean.

Dla ciebie niebo czyste całe się blaskiem stroi,
a kiedy z zorzą poranną schodzisz z wiosennych podwoi,
gdy ciepły wiatr południowy przeleci rodnym powiewem
najpierw cię z całej piersi ptaki witają śpiewem,
potem ochocze trzody i wolna zwierzyna wszystka
przepływa bystre rzeki, tratuje bujne pastwiska —
dokąd rozkażesz, zdąża w niewoli twego uroku.
W końcu po morzach i górach i w nurtach rwących potoków,
w cienistych gniazdach ptaków, na polach pełnych zieleni
rozżegasz płomień miłości w sercu każdemu stworzeniu
i rodzisz sztuką swoją, rozkosz dającą i boleść,
młode, radosne życie — nadzieję nowych pokoleń.
Skoro cała natura na twoich wsparta rządach
i nic bez ciebie życia ni światła nie ogląda,
nic nie oddycha weselem, nic nie oddycha kochaniem —
twojej pomocy wzywam, twego przymierza w pisaniu,
składając wiersze o prawdzie dla druha mego, Memmiady
któremu sama nie skąpisz we wszystkich rzeczach ogłady.
Tem więcej teraz bogini, gdy słudze twemu chcę służyć,
nieśmiertelnego wdzięku mym prostym słowom użycz,
Spraw, niech po wszystkich morzach, nad całej ziemi obszary
uśnie wojna, ustaną krwawe bitewne ofiary.
Ty jedna nas śmiertelnych obdarzysz błogim pokojem,
bo przecież Mars pancerny roznieca srogie boje —
a oto często z bitwy ucieka na twoje łono
padając mężną piersią, od twoich strzał ranioną,
i oto leżąc bezbronny smukłą odchyla szyję
i rozkochany w tobie twój luby oddech pije.
Pochyl się nad nim, boska, gdy oczy tobą napawa,
od uczty twoich wdzięków nie każ mu rychło wstawać,
otul go sobą dokoła, nie szczędź najsłodszych namów,
uproś łaskę pokoju i żądzę walk pohamuj.
Bo w dni od burzy ciężkie pracować nam nieskoro,
ani dla dobra kraju zacna Memmiuszów latorośl
nie może spraw publicznych zaniechać, odejść w zacisze
i głosu obowiązku, i wrzawy walk nie słyszeć.

WANDA ODOLSKA

Porucznik Kuba

(reportaż)

I

Nieznane były nikomu z nas ani rozmiary, ani plan tego ostatniego okrucha Warszawy, Śródmieścia, wokół którego zacieśniały się wszystkie wściekłe moce, które w ciągu dwóch miesięcy odrąbywały od Warszawy kawał po kawale, dzielnicę po dzielnicy. Wyżółkłe, chude, a jednak ruchliwe i nieustannie gadające cienie — mieszkańcy piwnicy domu, który niegdyś stał, a teraz „leżał" przy ulicy Marszałkowskiej 73 — czuli dokładnie, że znajdują się jak gdyby na topniejącej gwałtownie krze lodowej. Coraz mniej już terytorialnie tej gorzkiej, głodnej wolności piwnicznej. Każdy nowy wybuch wbijał w ziemię, albo rozmiatał na boki jeszcze jeden dom, coraz bliżej. Każdy huk nieuchronnie — jak w normalnym świecie cykanie zegara — zbliżał nas do końca, przed którym nie broniły już materialne mury, ale który z głębokim wstrętem odpychała chora wyobraźnia. Myśl, jak ćma, przez dwa miesiące obijała się o czerwone cegły piwnicy, nie wylatując poza jej ściany; Żoliborz, Starówka znajdowały się gdzieś na drugiej półkuli, — pozbawione obrazu teoretyczne nazwy jakiejś dawno zapomnianej lekcji z dzieciństwa. Kuba?... Urugwaj?... Praga była w ogóle już po za sferą pamięci i rozumienia, jako abstrakcja, dotycząca „innego" świata. Myśl, zestrojona z wzrokiem, miała określone granice przestrzenne — wnękę piwniczną. Huki, strzały i wybuchy wyrywały po prawdzie myśl o piętro wyżej, na ulicę, ale przecież tylko na ulicę Śródmieścia.

Drętwota nasza była jednostajna i monotonna. Bez męczących odchyleń. Nikt nie siał paniki, ani defetyzmu, trzeźwa ocena sytuacji do rozpaczliwszych wniosków prowadziła, aniżeli wszelka panika. Może wycieńczenie głodowe, może jakiś automatyczny bezpiecznik mózgowy sprawiły, że w ostatnich dniach września wyobrażenie końca Powstania zlało się w jedno z myślą o własnej śmierci. I nic ponadto! A śmierć nikogo już nie przrażała właściwie. I dopiero ci z Żoliborza, którzy przyszli kanałami 30-go września — przynieśli w rozszerzonych źrenicach obrazy, wobec których runęła nasza po nędzarsku sklecona rezygnacja. Zrozumieliśmy, że zło, na jakie przygotowaliśmy się—

to zaledwie niewielki obszar, dostępny naszym uszczuplonym zakresom myślenia. Raptem uderzyły w nasze mózgi porażającą prawdą najprostsze fakty, które jakoś wszyscy gremialnie — niewiadomo dlaczego — pominęli. O kapitulacji, którą mieszkańcy Śródmieścia uważali za tragiczne, ale rozsądne posunięcie — mówiliśmy ze spokojem. Ale czemu nikt w piwnicy nie pomyślał, nie powiedział, nie wpadł na to, że przecież logicznym następstwem będzie obraz niemieckiego munduru?! Ten nagle uświadomiony fakt, że po dwóch miesiącach głodu, widoku śmierci, strachu i rozpaczy — znowu zobaczy się niemieckie mundury — zmiął całą przeżytą mękę w ciężką grudkę absolutnego bezsensu. Jakaś szatańska kpina! Rosły, w buty z cholewami ubrany mieszkaniec Miechowa, który dzielnie znosił skutki absurdalnego rozkazu, kierującego go do Warszawy na okres Powstania — zatoczył się raptem o ścianę i zapłakał głośno: — „Żeby tyle przejść — i znowu patrzeć na te czapki z trupiemi główkami — tego już chyba człowiek nie wytrzyma!"

Ostatnie dni września zaostrzyły czujność. Z każdą godziną przybywali ci, którzy unieśli cało głowy z zawalonych schronów. Wszystko, co dotychczas huczało, strzelało i ryczało — waliło teraz na Śródmieście wściekłymi akordami. Po piwnicach snuły się gromady powstańców, którzy nie mieli już nic do roboty. Już nie atakowali, ani nie bronili, bo czym? „Przecież w czapki bomb łapać nie będziemy!" — powiedział jeden. Domy rozpadały się kolejno, systematycznie — ulica po ulicy, numer po numerze. Szwab, bombardujący Śródmieście, złaził z samolotu, żarł obiad, znowu właził i znowu spokojnie i bezkarnie bombardował jemu tylko znany obszar ostatniej topniejącej kry lodowej.

Nie wierzyliśmy jednak w możliwość kapitulacji. Jaki by nie był ten koniec—śmierć od bomby, czy od granatu—wszystko jedno — głupio skapitulować przed końcem! I dopiero gdy propagandyści w huku bomb wygłaszać zaczęli przygotowane na wypadek paniki płomienne argumenty, że nam nie wolno, że historia żąda, ażebyśmy wyginęli do ostatniego, że kto tu mówi o kapitulacji, i że nie prawda, jakoby Mokotów skapitulował — zrozumieliśmy, że Mokotów padł i że Śródmieście skapituluje.

Tak. Jednocześnie prawie z ukazaniem się na podwórku odezwy, przeczącej pogłoskom o kapitulacji — ucichły strzały. Dzień 1-szy października upływa w ciszy, przeszywanej plotkami.

Cisza jest zjawiskiem zapomnianym i nowym. Do huku można się przyzwyczaić. Ciszę słyszy się nieustannie i męcząco.

Niewiadomo, co z sobą zrobić. Nieprawdopodobnie komplikuje się ubogi tryb trwania w piwnicy. Człowiek łazi z kąta w kąt — i ciągle nasłuchuje. Trwanie skończyło się. Teraz coś nastąpi. Wieczorem wiemy już, że prowadzone są pertraktacje. Rano 2-go października czytamy w rozlepionych komunikatach, że opuścimy miasto. Wyobraźnia nie potrafi zboczyć z toru, który sobie wytyczyła. Niepodobna wywlec z piwnicy tego zbitego w kupę nieszczęścia ludzkiego. Doktór filozofii, pogodny i rozsądny mężczyzna, który przez dwa miesiące opanowywał ludzką histerię, szkodliwe optymizmy i panikę, siedzi nieruchomo i nie patrzy na bezładną krzątaninę po piwnicy. Jest zupełnie złamany. Dopiero kilka łyków wódki, którą go ktoś częstuje, rozkleja tę martwą sztywność. Piją właściwie wszyscy. Niewiele potrzeba zagłodzonym. Decydują się wyjść na miasto.

Powietrze jest straszne, gęste i cuchnące. Światło uderza nożami w oczy, które przez dwa miesiące widziały tylko noc i sine pełganie karbidówek. Niepodobna chodzić. Każdy krok wyciska pot z pleców i ból z mięśni łydek. Twarze oglądane przez dwa miesiące zbliska — dopiero teraz w oddaleniu — przerażają żółtością. Snują się ludzie powoli i bez sensu po Marszałkowskiej, po Wilczej, zaglądają w bramy, we wnęki ruin — i patrzą z osłupieniem na siebie i na te stosy powykręcanego żelastwa, cegieł i szkła, które były Warszawą. Trupy domów bardziej przerażają, niż trupy ludzi. Ogromne są i wstrętne przez to, że wszystko, co służyło ich ozdobie, co gromadziło się w nich dziesiątkami lat — wala się pospołu z cegłami, ziemią i popiołem, bezwartościowe i śmieszne. Kafle obsypały pluszowy tapczan. Przepołowiona wanna opiera się jedną nogą na pilśniowym kapeluszu, drugą wbiła w rozdartą książkę.

Ludzie mocni i nie ulegający obrazom, wracają od strony Koszykowej z cebulami, z pękami liści kapuścianych w rękach. Chodzą na działki. Tłum na ulicach rośnie. Zaczynają mieć pewną wartość pieniądze, obezcenione zupełnie w okresie Powstania. Błyskawicznie zawiązuje się handel. Ci, którzy nagromadzili w piwnicach odzież i jedzenie, muszą część zapasów zostawić albo sprzedać. Ci, którzy nie posiadają nic, kupują od przekupniów. Płacą 35 złotych za jednego „junaka", 3 tysiące za ćwierć kilo masła, 2 tysiące za pół litra czarnego oleju. Trzeba przygotować się do nieuchronnej drogi.

Skołatany udręką mózg zmusza się do obmyślania drobnych a niezmiernie ważnych spraw gospodarskich. Wywędrujemy w nieznane, więc trzeba przygotować plecaki. Miasto i ludzie — wszystko — jest okropnie brudne i nędzne. Na podwórzu ruch.

Między ustawione pionowo dwie cegiełki wkłada się nieustannie znoszone z ruin kawałki ram i drzazgi i gotuje się. Dawni mieszkańcy kamienicy mają sardynki, boczki — i to pakują do plecaków. Przybłędy spalone zdane są na własny koncept. Smażą na cuchnącym oleju placki, które po paru dniach spleśnieją. Pięć takich placków, butelka kawy, łyżeczka masła w kubku, woreczek cukru i woreczek kaszy z radzieckiego zrzutu i jeszcze twardy czerwony chleb z kasztanów, kupiony u piekarza za obrączkę — to jest zapas na niewiadomą przyszłość.

Miasto zdane jest na własną orientację. Każde podwórko wytwarza własne prawa. W jednym domu na Wilczej dzieli się między wszystkich zebraną odzież. Na rogu Marszałkowskiej — przeciwnie — lokatorzy zamykają w piwnicach swoje ubrania, zabijają drzwi gwoździami. Z trudem udaje się wyprosić koszulę, sweter, pończochy. Pod ścianami leżą plecaki i wory związane sznurami. W plecakach — wino, konserwy, cenne lekarstwa. W zeszytych z łachmanów worach: — placki, woda, garstka kaszy. W ogólny rozgardiasz łażenia po ulicach i ciułania zapasów, 2-go, już po ogłoszeniu kapitulacji, padają na Wilczą ‚krowy", niemiecki żart, mający na celu przyśpieszenie Warszawiaków. Warszawiacy jednak nie wychodzą. Boimy się. Nie wierzymy Niemcom. Pierwszego dnia stawiło się na punkcie zbornym zaledwie kilka osób. Spodziewamy się, że nas wyniszczą — i właśnie na ten temat w piwnicach toczą się długie rozmowy. Starych i chorych zapewne odrazu zlikwidują. Młodych może użyją do kopania okopów pod armatami, może zapędzą do obozów koncentracyjnych. Na podłożu głodowym wyhodowana mistyka udręki snuje fantastyczne przewidywania. „Idziemy na własny pogrzeb!" — krzyczy doktór filozofii, któremu alkohol uderzył do słabej głowy. Nikt nie widział, co jest po „tamtej stronie". Jak Niemcy przyjmą wygnańców? „Tamta strona" porasta w coraz sprzeczniejsze legendy. Wyobrażaliśmy sobie nie taki koniec! Bolesny i nagły — a nie wdeptywany w niewiadome drogi opuchniętymi z głodu nogami.

Powstańcy — żołnierze łamią w sobie ostatki wiary, jak świece na ołtarzu, który zawiódł. Niepewność ich o własny los jest już cywilnego rodzaju. Młodzież męska naradza się po kątach. Chodzi o ocalenie pokolenia. Więc czy wyjść z wojskiem, czy zrzucić opaski z ramion? Spokojny jest ten, który w dalszym ciągu ślepo słuchał i komentowanie rozkazu uważa za przestępstwo służbowe. Zarumieniony ze wstydu wyrostek zagląda do piwnicy i pyta, może kto ma schowaną dawną czapkę oficerską. On jest podporucznikiem. Ktoś starszy mógłby wyjść w be-

recie, ale on, taki młody, jakże pokaże Szwabom swoją szarżę zdobytą na ich własnej skórze? Zupełnie szczęśliwa, godna zazdrości, jest twarz zalanego propagandysty, który wierzył zawsze we wszystkie plotki, noszone przez siebie mieszkańcom piwnic na pociechę, i który wierzy teraz zapewnieniom niemieckim, — i komentuje je głośno i pyszałkowato: — „Wehrmacht to nie gestapo! Każdy mieszkaniec Warszawy otrzyma kiedyś Virtuti Militari — a narazie my nawet u Niemców wzbudzamy podziw — i będziemy korzystali w obozach oficerskich z praw i honorów oficerskich!” — Z podwórek, z ulic, z ruin wpadają seriami w noc strzały rewolwerowe i karabinowe. To Powstańcy opróżniają ładownice, żeby nie oddać Niemcom nabojów.

W piwnicach dzieją się niepojęte rzeczy. Wpadają gromadami uzbrojeni Powstańcy, krzyczą, grożą rewolwerami, wyłamują zabite deskami skrytki. To nie jest degeneracja wojska, ani rabunek! Jedno łagodne słowo rozbraja zuchwałe ręce i wywleka na powierzchnię całą powstańczą niedolę. Wypuściły ich matki w sierpniu, w koszulach i lekkich paltach. Chodzili dziś od rana i prosili grzecznie ludzi o coś ciepłego, bo przecież idą do obozu, niewiadomo na jak długo! A ludzie żarty stroją! Możeby i dali później, ale niepodobna wysłuchiwać głupich dowcipów, kiedy człowiek jest wypełniony klęską. Więc jeżeli żołnierz, chodzący po proszonym budzi śmiech — to oni postanowili po żołniersku. na ludzkim sknerstwie — jak na wrogu — zdobyć swetry i wełniane skarpetki, które przecież i tak zostałyby tutaj. O zaopatrzeniu biednego, zziębniętego wojska rzeczywiście wszyscy zapomnieli.

Drobne, męczące kłopoty, związane z gromadzeniem ekwipunku, chodzenie po ulicach, szukanie bliskich, z którymi chciałoby się wyjść razem, narady, modlitwy, skłębiony splot uczynności i skąpstwa, wymiana usług i złośliwości, nagły męski płacz gdzieś w kącie — wszystko to wypełnia ponurą ciszę, jaka wisi nad miastem. Nikt nie spieszy się do wyjścia. Ludzie, którzy spędzili razem dwa miesiące w piwnicznej wspólnocie, zaczynają nie znosić się wzajemnie. Są rozdrażnieni, mają dosyć lochów i czerwonych cegieł, w które wbite są ich własne desperackie medytacje. Dopóki był huk, „krowy” i bomby—istniało złudzenie, że jest walka i wolność — wąska, jak wnętrze grobu. I żeby teraz zostawić tutaj nadzieje, mogiły na podwórkach, Warszawę,—i wyjść niewiadomo na jaką poniewierkę, na jaką śmierć—samemu oddać się w „ich” łapy — niemożliwe! Kręcą głowami—nigdy!—ale po chwili kłócą się o cudzy liść kapusty, łapią bagaże i przyłączają się do płynącej nieustannie, wolno, ale coraz

szerzej, rzeki ludzkiej. Idą, podchodzą pod Politechnikę, do punktu zbornego. Noc całą stoją na ulicy, patrzą na nędzarzy, obarczonych dziećmi i tobołami. Mięknie ich desperacka dęcyzja — i wracają cicho, we łzach do swojej piwnicy. Jeszcze parę godzin Jeszcze 2-go, ani 3-go października, ani 4-go — nie można się zdobyć na opuszczenie pogorzeliska. Dopiero 5-go — za kolumnami wojska pociągnie w chlipaniu i płaczu reszta Warszawy na nieznany, tułaczy los.

II

Znajdowaliśmy się na ostrym, nieodwracalnym zakręcie historii. Kto ten zakręt lekceważył — ulegał wykolejeniu pojęciowemu. Kto udawał, że go nie dostrzega — wkraczał na ugorzyste manowce i już konsekwentnie musiał udawać, że to jest właśnie zamierzony „wyższy" cel historyczny.

Siedzieliśmy właśnie na ugorze. Na zawszonej, osypanej wapnem kanapie w piwnicy rozwalonego domu Śródmieścia, ostatniego strzępa Warszawy, który nie został zdobyty, ale skapitulował. Nie byliśmy zdolni do politycznej analizy powstania. Zapleśniała skórka chleba była w miesiącach Powstania najwyższą wartością. Głód jest siłą przemożną i ma własności narkotyczne. Osłabia nie tylko nałóg myślenia, ale nawet odczuwanie strachu.

Ale mimo wszystko! Mimo to, że straciło się podczas Powstania najbliższych ludzi i poszanowanie dla własnego życia— nie osiągnęliśmy rezygnacji. Wiadomość o kapitulacji i zarządzenie opuszczenia miasta szarpnęły w ludziach ostatnie niepodejrzewane zapasy buntu. Psiakrew! Komu to wszystko było potrzebne i poco? Więc dlatego zginął najbliższy człowiek, poto muchy tuczyły się na trupach wczoraj jeszcze tryskających wiarą chłopców, poto były te dwa miesiące zwierzęcej poniewierki w huku bomb, w brudzie i w oczekiwaniu śmiertelnej męczarni — żeby teraz wyleźć z tej piwnicy i na obolałych nogach zanieść Niemcom własną skórę?

Wskazówki zegara obracają się wkółko, ale czas idzie naprzód. Nasz czas nie posunął się ani o sekundę. Przez dwa miesiące drgały nam w oczach darte ogniem domy, tryskały w niebo asfalty ulic. Wykonaliśmy mnóstwo obrotów na jakiejś wściekłej karuzeli — i właśnie stanęliśmy dokładnie w tym samym miejscu—tylko ubożsi o rodzinę, o dom, o Warszawę. Chciałoby się spojrzeć w oczy temu rosłemu porucznikowi, który w połowie sierpnia zapewniał, że „pobijemy jednych, potem pobijemy drugich" i że w ogóle „byczo jest!"

Jesteśmy na tej samej Marszałkowskiej. Koniec wyobrażaliśmy sobie, jako masową śmierć pod ruinami na ulicy Marszałkowskiej, która była już matematycznie abstrakcyjną linią, pozbawiona wytyczających ją domów, i nie leżała w Warszawie, ale pod gruzami Warszawy. Więc było w tym wyobrażeniu końca rozumowanie dostępne ludzkiemu tradycyjnemu myśleniu. To można było przewidzieć. Szkielety i szczątki, a ponad tym niematerialny duch — ulica Marszałkowska. Ale trzeba być chorym mistykiem, żoby tę wizję końca przedłużyć jeszcze o życie pozagrobowe, o piekło. Mówiąc realnie — o klęskę! Klęską właśnie było wyczołganie się z ruin i ten widmowy pochód zasuszonych nędzarzy na punkt graniczny — przed Politechnikę.

Staliśmy dzień i noc przed Politechniką, zapatrzeni w Warszawę. Nie można oderwać się od śmertelnie zranionego, dopóki z niego cały dech nie wyjdzie i krew nie wycieknie. Nędzarze z tułaczymi tłumokami na plecach w milczeniu oczekiwali tej najważniejszej ostatecznej chwili. Ukazała się wreszcie ta krew Warszawy! Tłum nędzarzy, mrużący okaleczone słońcem oczy — uległ olśnieniu. Z arteryj rozszarpanych ulic ciekła szybko, w długiej kolumnie wojskowego szyku — tętniąc rytmem wojskowych kroków — podziemna moc Warszawy. Tłum patrzył w bezradnej rozpaczy, ale z religijnym zachwytem na ujawnienie się mocy, które były przez pięć lat bezpostaciowe, bezimienne i nieuchwytne. Czepiał się upartym wzrokiem tego, co miało nas bronić i wspierać. Chłopcy i dziewczęta z opaskami biało-czerwonymi na ramionach — wymyci, oczyszczeni, śliczni — starali się patrzeć przed siebie zimno i dzielnie. Między nami a nimi byli Niemcy! I teraz Niemcy rozwiozą tę krew Warszawy szlakami obcych dróg — w rozproszenie, będą ją wysuszali w lagrach i obozach, będą rozpryskiwali kulami w wykopane w lasach rowy.

To była właśnie klęska! — „Szatańska robota!" — zatoczył się w płaczu doktór humanista, który od dnia kapitulacji uginał się pod ciężarem myśli straszniejszych, niż śmierć. — „Kto tego wszystkiego chciał? Przecież w tym jest diabelny, logicznie przeprowadzony zamiar! Nie jestem politykiem i nie rozumiem, kto i dlaczego wywołał Powstanie. Nie umiem spojrzeć na to od „tamtej" strony, od momentu wydania rozkazu. Ale jeżeli się spojrzy od końca, od kapitulacji — to przecież jasne jest, że tylko Niemcy na tym zarobili. Zniszczyli miasto; zamordowali, kogo chcieli; zrabowali, co chcieli, nas wywiozą do pieców — i będzie się to nazywało przed światem — ewakuacja. Roz-

broili wojsko i grzecznie, w szyku, wyprowadzają sobie całą młodzież, wszystko, co przedstawia dla nich niebezpieczeństwo. To nie jest kapitulacja — to jest klęska taka szatańska, jakiej świat nie widział!"—Załzawione babiny replikowały po macierzyńsku i bez sensu: — „Jakże można tak! Niech pan spojrzy! To nasi! Dzieci! Chłopaki! Jak oni ślicznie idą!" — Z tłumu podrywały się pojedyńcze głośne szlochy. Kolumna zatrzymała się na chwilę.

To też była klęska zobaczyć jeszcze raz tę postać! Bywalec piwnic Śródmieścia, oficer propagandy, porucznik Kuba, pełnił podczas Powstania trudną służbę podtrzymywania sił w sarkającej już ludności cywilnej. Porucznik Kuba był znanym wynalazcą znakomitych wiadomości, które przyprawiały o bicie serc nędzarzy, a po paru godzinach wpędzały ich w jeszcze czarniejsze dno, ponieważ okazywały się nieprawdziwe. Mieszkańcy piwnicy na rogu Wilczej i Marszałkowskiej buntowali się przeciwko porucznikowi Kubie. Orzekli, że jego działalność nie tylko nie podtrzymuje sił, ale jest niehigieniczna dla zdrowia. Poco rozpalać zasypane popiołem iskry, kiedy rzeczywistość za kilka godzin je zgasi? Na dłużej starczy sił, jeżeli będą monotonnie tlały. Porucznik Kuba skapitulował przed cywilami na długo przed kapitulacją Śródmieścia, zaszywając się gdzieś skutecznie. A teraz jest! Kobieta, która sprawiła, że zrezygnował ostatecznie z uprawiania propagandy, spojrzała niemal współczująco na porucznika Kubę. Czuł zapewne tak, jak inni, że to się źle skończy, ale miał dobrą wolę krzepienia. Też, biedak, poniósł klęskę. — „I co pan teraz powie, poruczniku Kubo?" — podeszła. Miała zamiar pożegnać się życzliwie i w zgodzie. Uśmiechnęła się, spojrzała — i pożałowała. Jeden tylko porucznik Kuba nie poniósł klęski! Na tle twarzy, które znieruchomiały w bohaterstwie, w powadze i w godności — jedna tylko twarz lśniła butą! Wystąpił na chodnik — zalany był — i przemawiał: — „Nie ponieśliśmy klęski! Historia wie, co robi! Jesteśmy rycerzami i na prawach rycerskich przechodzimy do wroga, w którym także trzeba uszanować rycerza! Nasz wódz przyjęty jest z honorami! Niemcy nam salutować będą! Ja jestem bohaterem, pani jest bohaterką, matka pani, która w trzasku granatników gotowała kaszę na podwórku, także jest bohaterką!"

Kobieta uciekła w przerażeniu od tej głupoty, mnąc jakąś sztywną kartkę, którą jej wcisnął do ręki porucznik Kuba. Takiej buty świat jeszcze nie widział! Podbiegła do młodego żołnierza, który miał oczy, jak dwie niezabudki: — „Już ci nie zdążę wytłumaczyć, dlaczego zamknęłam się w piwnicznej skorupie, a nie poszłam na barykadę. Widzisz: — ty jesteś wierzący,

a ja — nie. Zapaleniec! Wierzyłeś w cud, a ja rozumowałam. Imponowałeś mi zawsze wiarą i złościłeś. Nie obrażaj się! Wspaniale walczyliście! Takich żołnierzy świat jeszcze nie widział!" Ścisnęli sobie mocno ręce, bo kolumna drgnęła i ruszyła.

Za ostatnimi szeregami wojska, z wysiłkiem podnosząc odwykłe od chodzenia nogi, powlokła się bezkształtna gromada ludzka, uczepiona myślą i wzrokiem powstańczego wojska, jak tonący, który chwyta się ostatniej deski ratunku. Rozeszły się nasze drogi. Dowódcy niemieccy zatrzymali powstańców i niedbałym machnięciem skierowali cywilny tłum w stronę Dworca Zachodniego. Przestrzeń i powietrze działają na ćmy piwniczne, jak alkohol. To dobrze. Łatwiej znieść widok mundurów niemieckich, tych rozstawionych co sto kroków drabów, których uśmiechy spadają na objuczone plecy, jak kije. Myśl stara się ująć w jakiś ład te wszystkie pojęcia, słowa i obrazy. Kto wyprowadził w pole — w niemieckie pole — tych chłopców, którzy, jak święci, wierzyli i wykonywali przykazania? Kto jest odpowiedzialny już nie za nas, bo jesteśmy zrezygnowaną, skłóconą gromadą, ale za te mogiły i za klęskę pokolenia? Ktoś musiał myśleć, przewidywać! Ten Kuba — to głupiec. Ale jaki jest ten wódz? Bór — nazwa mroczna, prymitywna. „Porucznik Kuba dał pani fotografię Bora!" — krzyczy wlokący się obok doktór humanista, z którym, nie wiedząc nawet o tym, kobieta prowadzi nieprzytomny dialog.

Fotografia. Z kartonu spojrzały na nią z pod spuchniętych powiek zmrużone oczy mężczyzny, siedzącego w niedbałej, znudzonej pozie. Na tle postawionego kołnierza płaszcza — twarz koścista o zawiłym i skomplikowanym rysunku mięśni i długich wąskich ust. Chytry, przeżyty uśmieszek. „Twarz degenerata" — powiedział doktór i podtrzymał kobietę, która zachwiała się pod ciosem nagłej klęski.

Ponieśliśmy — i my i wojsko — naszą klęskę i poniewierkę na niewiadome drogi. Porucznik Kuba lśnił butą. Generał Bór prowadził w spejalnym wagonie specjalnego pociągu rozmowę „na tematy towarzyskie" ze swymi dawnymi znajomymi, wyższymi oficerami SS. Tak przynajmniej zeznawał później von dem Bach. O nas generał Bór nie pytał. Dobrze, żeśmy o tem nie wiedzieli!

WACŁAW BIELECKI

Nasi zagranicą

D z i w n i e   c z ł o w i e k o w i   w   S z t o k h o l m i e, d z i w n i e...

Niewiadomo dlaczego nazywają Sztokholm Wenecją Północy. Nie znam Wenecji, ale wystarczy być w Sztokholmie, aby zrozumieć jak mało to porównanie ma sensu. Sztokkolm nie jest Wenecją, podobnie jak Warszawa nie jest Paryżem Północy. Warszawa jest Warszawą i Sztokholm jest poprostu Sztokholmem.

Bardzo swoiste, bardzo charakterystyczne i bardzo piękne miasto. Ale w tym niema jeszcze nic nadzwyczajnego. Wiele jest pięknych i swoistych miast i nikt się temu nie dziwi. Dziwne w Sztokholmie jest nie miasto, — dziwni są ludzie. Przynajmniej dziwni dla nas Polaków, dla nas Warszawiaków, którzy po raz pierwszy po sześciu latach wojny udajemy się zagranicę. Ale — zacznijmy od początku i po porządku.

Latałem już samolotem niejednokrotnie, lecz takim samolotem jeszcze nie latałem. Miękkie fotele, komfort, wszystko lśni. Podają człowiekowi w pudełku zimny obiad z sokami w papierowych kubkach, steward wciąż podchodzi z mapą i pokazuje gdzie jesteśmy, każdy uśmiechnięty, uprzejmy do niemożliwości i rozmowny na migi.

Dziwnie się człowiek czuje w szwedzkim samolocie, ale jeszcze dziwniej na lotnisku. Wysiadamy. Podchodzi do nas jakiś pan, bardzo elegancki, w baniaczku, bodaj czy nie z monoklem i wita nas w imieniu szwedzkiego Min. Spraw Zagranicznych. Wytrzeszczyliśmy oczy ze zdumienia. Jakto! Przecież wcale nie anonsowaliśmy naszego przybycia i w dodatku nie jesteśmy żadnymi oficjalnymi osobami. Nie handlujemy węglem, który jest Szwedom tak potrzebny. To musi być pomyłka!

Okazuje się, że nie. Nie wiedzieli wprawdzie kto przyjedzie, ale przypuszczali, że napewno będzie to ktoś ważny i na wszelki wypadek przysłali przedstawiciela Ministerstwa. Nie za wysokiego i nie za niskiego — w sam raz. Takie są już widocznie zwyczaje w Szwecji. Przedstawiciel ministerstwa wita się z nami, żegna i oddaje w ręce attaché handlowego naszego poselstwa. To wydaje się nam jeszcze dziwniejsze. Nie byliśmy dotychczas przyzwyczajeni do takiej grzeczności ze strony naszej dyplomacji. Czyżby nasi MSZ-owcy przejęli się tak szybko szwedzką kurtuazją! Okazało się że u naszych było to rze-

czywiście nieporozumienie. Miał przyjechać minister Rabanowski. Na chwałę naszego przedstawiciela trzeba przyznać, że nie dał nam odczuć swego rozczarowania i zaopiekował się nami prawie tak, jakbyśmy byli jeśli nie ministrami, to w każdym razie referentami ministerialnymi, a nie jakimiś tam marnymi dziennikarzami.

Ale nie warto zajmować się naszymi. Dosyć nam krwi napsują w kraju i nie poto przyjechaliśmy do Szwecji. Wróćmy do Szwedów. Wzięli nas porządnie w obroty przepuszczając przez całą machinę celno - paszportową. Trwało to niewypowiedzianie długo i mieliśmy czas na dokładniejsze zapoznanie się ze zwyczajami i obyczajami tubylców.

Więc przede wszystkim nie było żadnej rewizji celnej. Po prostu wypełniliśmy deklarację, że nie mamy nic do oclenia i koniec. Nie było żadnej kontroli walutowej. Po prostu wypełniliśmy deklarację, że nie mamy obcej waluty ponad 50 dolarów na głowę.

Dziwni ludzie ci Szwedzi! wierzą wszystkiemu na słowo. Dziwni i naiwni. Gdyż my, rzecz jasna, zgodnie z naszymi zwyczajami i obyczajami mieliśmy i co do oclenia i coś nie coś z waluty zagranicznej i co ciekawsze mieliśmy na to wszystko legalne dokumenty z podpisami i wszystkim co należy. Ale skoro wierzą na słowo... Przypomniała mi się anegdotka, jak to w klubie londyńskim grało w pokiera 4 Anglików i jeden cwaniak warszawski. Gdy jeden z Anglików zagarnął wygrane pieniądze, posiadając trójkę dam, cwaniak poprosił go, aby pokazał karty. Tamten spojrzał na niego z góry i wycedził przez zęby: „u nas nie ma takich zwyczajów — u nas się wierzy na słowo. — Od tego czasu warszawiak zaczął stale wygrywać. Po skończonej grze podchodzi do niego kibic i mówi: „Ale pan miał niebywałe szczęście dzisiaj". Tamten odpowiedział: „Sztuka mieć szczęście przy takich zwyczajach. Tu przecież wierzą na słowo".

Ale okazało się, że wbrew pozorom, Szwedzi nie są znowu tak bardzo naiwni i nie na wszystko dają się nabrać. Uwierzyli nam z łatwością, że nie mamy waluty, że nie mamy nic do oclenia. Skądby zresztą mogli ją mieć tacy oberwańcy z Polski. Ale na tym skończyła się ich wiara na słowo. Zaraz z komory celnej dostaliśmy się do rąk reporterów. O, ci nie dali się „nabrać", wiedzieli o Polsce „wszystko". Wiedzieli, że u nas jest komunizm, że nie ma żadnej innej partii, tylko PPR, że jest sowiecka okupacja, że dzieci wymierają tysiącami, itd., itd. Kiedy usiłowaliśmy nieśmiało prostować niektóre ich wiadomości, patrzyli na siebie porozumiewawczo: „Gadajcie sobie zdrowo agenci Kominternu! Nas na to nie nabierzecie!" I istotnie nie dali się „na-

brać". Na drugi dzień we wszystkich prawie gazetach szwedzkich ukazały się nasze fotografie i nasze wypowiedzi. Włosy stanęły mi dęba na głowie, kiedy mi przetłumaczono to, co powiedziałem.

W jednym piśmie powiedziałem, że w Polsce są sami komuniści, w drugim, że wcale nie ma komunistów — jest tylko Mikołajczyk. W jednym powiedziałem, że prześladuje się katolików, w drugim, że program Polskiego Radia składa się przeważnie z transmisji nabożeństw itd., itd.

Z tych pierwszych doświadczeń wysnuliśmy ogólny wniosek co do pewnych zwyczajów i obyczajów naszych gospodarzy

Szwedzi są to uczciwi kupcy, wierzą na słowo w interesach, zwłaszcza, jeśli to im nie szkodzi. Ale nigdy nie wierzą ani na słowo, ani nie na słowo w oczywistą oczywistość, jeśli im to nie dogadza.

Dziwnie człowiekowi w Sztokholmie — dziwnie...

Lecz porzućmy wysokie sfery filozoficznych uogólnień i wróćmy do codziennej prozy życia w Sztokholmie.

A więc kwestia mieszkaniowa. Wygląda ona bodaj bardziej jeszcze ponuro w Sztokholmie, niż w Warszawie. Wystarczy powiedzieć, że z niezwykłym trudem, poprzez wysokie instancje państwowe udało się naszą piątkę rozlokować na dwóch przeciwległych krańcach miasta — trzech w jednym wspólnym pokoju w hotelu i dwóch w drugim. I to okazało się nazajutrz, gdy spotkaliśmy członków naszej misji handlowej, że jesteśmy wyjątkowi szczęśliwcy — bo ich ulokowano jeszcze gorzej. Jeśli takie trudności mieszkaniowe są w Warszawie — nie może to nikogo dziwić, ale jeśli to jest w Sztokholmie, stolicy Szwecji, która nie brała udziału w wojnie...

Ale gdy mówimy już o hotelach. Uderzył nas tu dziwny, dawno nie spotykany widok. Ludzie wystawiają jak gdyby nigdy nic przed drzwiami buty do czyszczenia, ba, nawet ubrania. I co dziwniejsze — nic nie ginie. Rzeczywiście dziwny kraj. Należałoby posłać naszą jedną wyszkoloną brygadę szabrowniczą na gościnne występy, żeby naiwnych i prostodusznych Szwedów nauczyć prymitywnych podstaw powojennego życia. Wymienialiśmy nawet kandydatów spośród bliższych i dalszych znajomych dla tej misji krzewienia w Szwecji „naszej kultury". A pole do popisu miałaby taka brygada szabrowników wprost nieograniczone. Nie tylko mogłaby spokojnie chodzić po hotelach i zbierać wszystkie buty i ubrania—a nikomu nie wpadłoby na myśl, żeby ich zaczepić — ale także zabrać wszystkie rowery, które stoją sobie spokojnie całą noc na ulicy.

Trudno, bardzo trudno jest się oswoić naszym ludziom z ta-

kimi warunkami. Jeden z naszych kolegów w żaden sposób nie chciał się rozstać ze swoją ciężką walizką. Taszczył ją sam na 3 piętro. Nie pomagały żadne perswazje, że tutaj ludzie nie kradną, że nie wypada, że co o nas ludzie pomyślą. „Ja wiem, że Szwedzi nie kradną — powiedział — ale czy oni wiedzą?". Na wszelki wypadek lepiej być ostrożnym.

Dziwnie człowiekowi w Sztokholmie — dziwnie!

A teraz coś z poezji. „Jedzenia w Chicago w barach ile dusza zapragnie. — Dziwnie człowiekowi w Chicago, dziwnie człowiekowi, dziwnie". Ten dwuwiersz Majakowskiego posłużył za motto dla niniejszego artykułu. Lecz niestety w Sztokholmie ani w barach, ani w restauracjach pod tym względem człowiekowi bynajmniej nie jest dziwnie. Z jedzeniem raczej krucho. Dziwna jest sama sztuka kulinarna w Szwecji.

Szwedzi są mistrzami przystawek, każdy posiłek zaczyna się u nich od najrozmaitszych gatunków kanapek, sałatek, sardynek itp. Stół jest tak zastawiony, że nie tylko trudno jest manewrować wśród talerzyków i salaterek, ale człowiek jest rzeczywiście w kłopocie, co z tym wszystkim zrobić. I to pachnie i to nęci. Ale nie na tym polega tragedia. Kiedy te przystawki zaostrzą apetyt do ostateczności—tym bardziej, że chleb dają w homeopatycznych dawkach—i oczekuje się właściwego obiadu—to okazuje się, że właściwie obiad się skończył. W Szwecji wszystko zaczyna się i kończy na przystawkach, a wszystko inne to „zwyczajna lipa i nawalanka". W pierwszym dniu to nas jeszcze bawiło, ale już w drugim byliśmy po prostu i zwyczajnie głodni. Głodni po raz pierwszy od 22 lipca 1944 roku, i trzeba było po to wyjechać za granicę. Śmiali się z nas ludzie w Warszawie, kiedy jadąc na Zachód, zabraliśmy ze sobą sporą walizeczkę z prowiantem, ale za to mogliśmy się śmiać w Szwecji, bo tylko dzięki tej walizeczce nie głodowaliśmy. Zlikwidowaliśmy ją całkowicie w ciągu kilku dni. W Londynie, niestety, wcale nam już nie było do śmiechu. I jeszcze jedną ciekawą rzecz zaobserwowaliśmy w dziedzinie sztuki kulinarnej. Im droższy obiad w Szwecji — tym mniej jest do jedzenia. Po kolacji za 17 koron na głowę (bez alkoholu) poszliśmy czym prędzej do hotelu szukać ratunku w naszej walizeczce, a za 4 korony 20 — zjedliśmy jedyny raz w Szwecji względnie możliwy obiad, z prawdziwym kawałkiem mięsa. I za takie obiady wycinają jeszcze nieprawdopodobną ilość kartek, a kartki w Szwecji to wszystko. Bez kartek nie możesz się nigdzie ruszyć — bo zginiesz marnie. Papierosy na kartki, i nawet na kartki trudno dostać; ciastka na kartki, ubranie i buty na kartki, ba, bodaj czy nie krawaty i kołnierzyki. Z tymi kartkami doszli Szwedzi do istnej manii. Wy-

obraźcie sobie taką historię: Jesteśmy zaproszeni przez prezydenta miasta, ob. Andersona, na przyjęcie do ratusza. Przyjęcie, jak przyjęcie — oczywiście przystawki i przystawki, po tym zupa... Aż nagle przynoszą mięso. Wyfrakowany kelner stawia na stole talerz i wyciąga rękę. Zdumiony, co znaczy ten gest, myśląc, że daje mu się napiwek — sięgnąłem po szwedzką walutę. Tymczasem sąsiad mój, Szwed i sam prezydent, który siedział naprzeciwko, wyciągają z całym spokojem kartki, wycinają odpowiednią ilość kuponów i wciskają w wyciągniętą rękę kelnera. Powstała nawet na sali konsternacja, gdyż nasi, nie znając tutejszych zwyczajów i obyczajów, nie wzięli ze sobą kartek na oficjalny bankiet: Sytuację uratowali sąsiedzi, którzy pożyczyli odpowiednią ilość kuponów.

Gorzej znacznie było z cygarami i papierosami, bo tu już nikt prawie z naszych nie miał kartek. Sam widziałem, jak kurtuazyjny prezydent miasta poczęstował kogoś cygarem i złożył na tacy kelnera swoje dwa kupony.

Dziwnie człowiekowi w Sztokholmie, dziwnie...

Jednej jednak rzeczy powinniśmy się z tych przyjęć nauczyć. Szwedzi najpierw jedzą i piją, a później wygłaszają przemówienia — a u nas jest naodwrót. Na zakąskę częstują nas długimi oracjami.

Większość czytelników interesuje napewno problem, jak to jest z tym piciem w Szwecji.

Niestety, jestem z zasady antyalkoholikiem i nie mogę was dokładnie poinformować w tej materii. Wiem tylko, że wódki do obiadu dają tylko jeden kieliszek i bardzo surowo tego przestrzegają. Nie wszystkim Szwedom to widocznie wystarcza, zmuszeni są chodzić po restauracjach, w każdej zamawiać obiad (nie koniecznie muszą go zjeść), aby zaspokoić elementarny głód alkoholu. W ogóle alkoholikom nie radzę jeździć do Szwecji. Jeśli tam ktoś obudzi podejrzenie milicjanta, że nie całkiem równo chodzi po ulicy — to przedstawiciel władzy każe mu chuchnąć i natychmiast zabiera na komisariat, po czym faceta przetrzymują przez 3 dni. Przydałoby się to naszym szoferom.

Jeśli Szwed chce się urżnąć, a nie może przyjechać do Polski, — robi to dyskretnie w domu — i wtedy nic nikomu do tego. Chuchania w mieszkaniach prywatnych dotychczas nie wprowadzono. — Demokracja.

A propos demokracji: Szwedzi są okropnie dumni ze swojego systemu kartkowego, jako najbardziej demokratycznego na świecie.

Szczycą się tym, że wszyscy dostają jednakowo: król i robotnik. I król musi również na każdy papieros oddać kupon.

Lecz porzućmy już sprawy gastronomiczne i wyjdźmy z restauracji na ulicę.

Na ulicach w Sztokholmie jest pięknie i dziwnie. Pięknie zwłaszcza wieczorem, gdy zapalają się neonowe reklamy. Jest to naprawdę wspaniały widok dla człowieka, który 6 lat mieszkał w zaciemnianych miastach. Wspaniały i oszałamiający.

I chyba niewiele jest krajów w Europie, które mogą sobie na taki luksus pozwolić. Ruch jest duży, sporo samochodów, ale przede wszystkim rowery i rowery. Rower, to narodowy środek lokomocji w Szwecji. Charakterystyczny to widok, gdy sygnał zatrzymuje na minutę ruch, a po tym rusza całe stado rowerzystów. Tak jak w Ameryce każdy ma auto, w Szwecji każdy ma rower.

W nocy wszystkie ulice zastawione są gęsto jeden przy drugim zaparkowanymi rowerami. Auta zniekształcone są przeważnie dziwacznymi instalacjami. Gazogeneratory. — Nie ma benzyny. Za to szoferzy są znakomici. Najlepsi, jakich dotychczas spotkałem. Najgorsi, niestety, są u nas.

Sami Szwedzi są też dziwni ludzie. Wyższa rasa w dosłownym znaczeniu. 170 cm. to u nich niski wzrost. Nic dziwnego, że patrzyli na nas z góry, zwłaszcza, że był pomiędzy nami przedstawiciel prasy wojskowej, którego popularnie nazywają Wołodyjowskim nie tylko z powodu jego waleczności. Nasz wygląd, a szczególnie mundur wojskowy wyżej wymienionego, budziły w Sztokholmie istną sensację.

Pewnego razu, gdy jechaliśmy tramwajem na platformie, trzy młode rowerzystki towarzyszyły nam przez kilka kilometrów, wymachując przyjaźnie chustkami. Nie wiedzieliśmy, czy w Szwecji są takie zwyczaje i co tam oznacza machanie chustkami, więc nie przedsięwzięliśmy żadnych dalszych kroków. Wytrwałe, choć wyraźnie rozczarowane rowerzystki — dały wreszcie za wygraną i ostentacyjnie zawróciły spowrotem.

Nie można powiedzieć, żebyśmy my, Polacy, cieszyli się w Szwecji szczególnie dobrą sławą. Dla przeciętnego Szweda pojęcie Polska jest wprawdzie dość mgliste, ale pachnie Dalekim Wschodem. W czasie naszego pobytu gazety prowadziły nagonkę z powodu przygody pewnego kapitana szwedzkiego okrętu, który pierwszy zawinął do Gdańska. Przygoda polegała na tym, że po prostu odebrano mu zegarek i kilka innych pomniejszych przedmiotów. Z powodu tej drobnostki w Szwecji powstał huczek. Gazety prześcigały się w wyliczaniu przedmiotów, których nieszczęsny kapitan został pozbawiony, no i w soczystych epitetach.

Ta opinia o nas nie datuje się zresztą wcale od czasów powo-

jennych. Pokazywano nam podręcznik szkolny geografii z roku 1939, w którym jako typowy Polak przedstawiony był na rycinie poleszuk, na tle kurnej chaty, oczywiście w łapciach i oczywiście w samodziałowym ubraniu! Nas samych pytano, czy jedliśmy już kiedyś w życiu pomarańcze i czy byliśmy w kinie. Rozmówcy nasi byli bardzo zdziwieni, gdy się dowiedzieli, że każdy z nas jadł w życiu przynajmniej jedną pomarańcz i przynajmniej 1 raz w życiu był w kinie. Naszą, jak nam się zdawało sarkastyczno-ironiczną odpowiedź wzięli za dobrą monetę. Ale a propos kina! Nie pamiętam już dziś tytułu i nie pamiętam treści. Pamiętam tylko ogólne wrażenie. Gdyby u nas „Film Polski" ośmielił się pokazać podobną szmirę, to Kott napisałby „taki" artykuł! Nie działo się w tym filmie dosłownie nic, tylko wciąż gadali, gadali, gadali. Najlepsze jednak było to, że na widowni doskonale się bawili i śmiali się do rozpuku.

Dziwnie człowiekowi w Sztokholmie, dziwnie...

Ale wróćmy do stosunków polsko - szwedzkich. Można je streścić w jednym słowie — węgiel.

Polska dla Szweda to węgiel. Główne zagadnienie polega na tym, jak z tego kraju wydostać węgiel tak, żeby kapitanom nie kradli zegarków. Co dla Szwedów znaczy węgiel, to się widzi właśnie w Sztokholmie, gdzie na pryncypalnych ulicach i placach stoją olbrzymie stosy drzewa. Pokazywali nam je Szwedzi z niemym wyrzutem w oczach, tak jakbyśmy temu byli winni. Patrzcie, my kulturalni Szwedzi, musimy zadowolić się drzewem, a wy to macie całe góry węgla.

Czy istnieje sprawiedliwość na świecie?

Gwoli tej sprawiedliwości muszę stwierdzić, że prócz żądzy węgla, jest jeszcze w stosunku do nas pewna domieszka sentymentu i humanitaryzmu. Szwedzi czują, że w czasie wojny zachowali się, powiedzmy delikatnie, nie całkiem fair. Neutralność to obecnie kompleks narodu szwedzkiego. Z której beczki zaczniesz ze Szwedem rozmowę, to zawsze dojdzie się do punktu, w którym Szwed zacznie się usprawiedliwiać, dlaczego Szwecja musiała być w czasie wojny neutralna. Chcieliby, żeby świat jak najprędzej zapomniał o tym, żeby zatuszować tę sprawę humanitarną działalnością. Nie wiem, ile milionów koron szwedzkich chcieliby na to poświęcić. W każdym razie humanitaryzm w ich położeniu to niewątpliwy bussines!

Bohaterem narodowym Szwecji został następca tronu, któremu, jak opowiadali, z narażeniem życia udało się sprowadzić do Szwecji kobiety z obozu Ravensbrück i innych obozów niemieckich. Trzeba stwierdzić, że Szwedzi obchodzili się

cały czas bardzo przyzwoicie z naszymi rodakami w czasie wojny i po wojnie, iż winni jesteśmy im wdzięczność. I trzeba stwierdzić, że Szwedom istotnie zależy, a nawet bardzo zależy na tym, aby stosunki polsko-szwedzkie były jak najlepsze i jak najściślejsze. Ale to są już sfery wyższej polityki i lepiej nie robić konkurencji naszemu MSZ-towi.

Wróćmy do zwyczajów i obyczajów naszych szwedzkich gospodarzy. Wszystko, co mówiliśmy dotychczas o Sztokholmie i jego mieszkańcach, to wrażenia i obserwacje bardzo powierzchowne. Jak Szwedzi wyglądają, co jedzą, co piją, jak się bawią itd. itd. Nie silimy się w tym szkicu na jakieś głębsze ujęcie tematu czy uogólnienia.

Byłaby to zwyczajna pretensjonalność po kilkodniowym pobycie w Szwecji. I dlatego lawirujemy tak ostrożnie, żeby ominąć w gruncie rzeczy najistotniejsze, ale bardzo delikatne zagadnienia jak np. demokracji.

Szwecja stawiana jest często jako przykład i wzór demokracji burżuazyjnej. Cóż może o tym jednak powiedzieć przygodny pasażer, który zatrzymał się w Sztokholmie pomiędzy jednym samolotem, a drugim? Chyba tyle, że nie rzuca się ona tak w oczy jak reklamy neonowe.

Być może, że trudno ją znaleźć na powierzchni, że trzeba jej szukać głębiej. Możliwe. Ale jeśli mam być szczery — to wydaje mi się, że gdyby tak poskrobać, przeciętnego Szweda — to w głębi duszy siedzi w nim przede wszystkim... filister.

Po prostu zadowolony z siebie mieszczuch, który chce żyć wygodnie i uważa, że nie ma nic lepszego na tym najlepszym ze światów, jak szwedzka demokracja. Zadowolenie z siebie to bodaj ten podstawowy rys, który widziałem u Szwedów.

Lubią się obnosić ze swym dorobkiem, kulturą, stopą życiową itd. itd. Chlubą Sztokholmu jest np. ratusz. Wygląda on jak średniowieczne, wielkie zamczysko z basztami i ogromnym dziedzińcem dla turniejów, w jakimś chyba pół gotyckim. pół romańskim — wogóle dziwnym jak wszystko w Sztokholmie stylu. Taksowaliśmy ten ratusz na oko na mniej więcej 13 — 14 wiek. Okazało się, że zbudowany został w roku pańskim 1923.

A czego tam nie ma w tym ratuszu! Chcecie bizantyjskie. haremowe komnaty, kapiące od złota ikon, z fontannami itd.— proszę bardzo. Chcecie salon w stylu Ludwika XIV — też znajdziecie — a zaraz obok olbrzymia sala zupełnie jak w kościele gotyckim. Wszystkie ściany pokryte przytym niesamowitymi bohomazami. Z naszego cicerone, który nam te bogactwa poka-

zywał, aż biła duma i zadowolenie. „Patrzcie, na to nas stać!" Gdy wyszliśmy jednak na taras ratusza i spojrzeli na fiordy, to był to widok tak wspaniały i zdumiewający, że darowaliśmy wszystko. I złocenia i arabeski i fontanny i Ludwika XIV-go. Sztokholm jest piękny. I nawet ratusz nie potrafi go zeszpecić.

Tak, Sztokholm jest piękny. To jest jednak dominujące wrażenie, które pozostało w nas wszystkich z Wenecji Północy. I jeśli mam być szczery, to i Szwedzi, którym za gościnność odpłaciłem czarną niewdzięcznością — są w gruncie rzeczy bardzo sympatyczni, bardzo solidni i kulturalni ludzie.

Może nawet za sympatyczni, za solidni i za kulturalni jak na mój gust. I w gruncie rzeczy jest w tych wszystkich złośliwościach po prostu dużo zawiści z naszej strony. Że tym Szwedom tak dobrze się żyje, że są niezniszczeni, że nie potrzebują się głowić jak zestawić ze sobą dwie równoległe ściany, czyli jak odbudować Warszawę, jak kraj stelefonizować, zradiofonizować i skinofikować itd. itd. Że wszystko to już mają, że nasyceni są już techniką do tego stopnia, o jakim marzyć nie możemy przez szereg lat. A my musimy zaczynać właściwie wszystko od początku.

Dziwnie się robi człowiekowi w Szwecji, kiedy patrzy na telefonizację. Telefon jest wszędzie w każdej chacie chłopskiej i niema takiego najbardziej skomplikowanego polecenia, którego by nie można załatwić przez telefon. Obudza cię o godz. 6.15 przez telefon i przypomną, że o 8.30 masz wyjechać z dworca takiego a takiego, i przyniosą ci papierosy, przyślą taksówkę, wstąpią po drodze po czekoladki itd. itd. Jest nawet taki aparacik, na którym możesz nagrać co chcesz. Np. Wyszedłem z biura na 2 godz. będę na obiedzie o godz. 1-szej. I jeśli telefon zadzwoni do twojego biurka, to aparat przekaże twojemu niedoszłemu rozmówcy — ten komunikat.

Często, gdy przez pół godziny usiłuję się daremnie połączyć z jakimś numerem, przypominają mi się te szwedzkie cuda i wzdycham, kiedy to u nas tak będzie?

Ale wyobraźcie sobie, że mimo tej olbrzymiej rozpiętości między poziomem życiowym u nas i w Szwecji — mimo zawiści, która nie dała mi spokoju, dopóki nie napisałem tych wszystkich złośliwości pod adresem Szwedów — po kilkudniowym pobycie wyjechałem ze Sztokholmu podniesiony na duchu i z wiarą w przyszłość Polski.

Przy wszystkich brakach mamy bowiem jedną zdecydowaną wyższość nad Szwecją — ogromny rezerwuar twórczej energii i entuzjazmu naszego narodu. I dlatego my tworzymy, budu-

jemy, uruchamiamy, produkujemy wszystko na raz, i wszystko mimo ogromnych przeszkód i niedociągnięć posuwa się naprzód, nawet telefonizacja.

A w Szwecji życie w gruncie rzeczy stanęło w miejscu. Kraj nasycony i zadowolony z siebie. A my jesteśmy narodem przyszłości, krajem przyszłości. I dlatego niech wolno mi zakończyć te wrażenia wzniosłym morałem: Jeśli telefonistka nie odpowiada przez pó godziny,

jeśli głośnik radiowy charczy,

jeśli auto nawala na moście,

jeśli cegły lecą nam w Warszawie na głowę,

jeśli do kina są kilometrowe ogonki,

nie przejmuj się zanadto — nie zniechęcaj się. Przetwórz twą jakże usprawiedliwioną wściekłość na energię twórczą, a wtedy... — jeszcze roczek, jeszcze dwa, jeszcze trzy, a nie tylko dościgniemy, lecz prześcigniemy Szwedów.

Nawet w telefonizacji.

I wtedy wolno nam się będzie z czystym sumieniem śmiać ze Szwedów. A na razie chapeau bas.

Dziwnie człowiekowi w Sztokholmie, dziwnie człowiekowi, dziwnie.

Z PRZYCZYN OD REDAKCJI NIEZALEŻNYCH NINIEJSZY NUMER „LEWEGO TORU" WYCHODZI PO DŁUŻSZEJ PRZERWIE.

WŚRÓD NOWYCH KSIĄŻEK

POWIEŚĆ O POWSTANIU

Do powieści, nowel i reportaży z tematyki wojennej przybyło ostotnio kilka książek opisujących powstanie warszawskie. Nie ma wśród nich jeszcze żadnej, która by ten okres ujęła syntetycznie, nie ma też żadnej, która by wyprowadzała ten okres z poprzedzających go czasów, ukazywała jego przyczyny, źródła i związki. W powieściach tych Powstanie nie rodzi się, nie wybucha, poprostu jest.

Nie wynika to napewno z przypadku. Wprawdzie politycy i publicyści nasi tę właśnie stronę przyczyn i skutków oświetlają i wyjaśniają krytycznie i obiektywnie, jednak artyści, dając wyraz przeżyciom i mękom uczestników i żołnierzy Powstania, cofają się przed oceną. Jest to zupełnie zrozumiały lęk przed konfrontacją pełnego grozy i wielkości obrazu męki, poświęcenia i bohaterstwa z małością i nędzą przyczyn, które te walki wywołały.

Żadna też z dotychczasowych powieści o Powstaniu Warszawskim nie daje obrazu całości zmagań. Każda jest obrazem pewnego wycinka, jednego lub kilku w najlepszym razie fragmentów walk powstańczych.

I to także jest naturalne. Autorzy tych utworów opisują to co widzieli, czego byli świadkami lub uczestnikami. Powieści dotychczasowe o Powstaniu to mniej lub więcej artystyczne reportaże z tego okresu. Patos i wielkość rzeczywistości, ogrom cierpienia i groza nieszczęścia, zawarte w dziejach tej beznadziejnej walki są żbyt potężne i nazbyt jeszcze świeże, aby zostawiały pole artystom dla syntetyzującej fantazji. Lęk artysty przed wypaczeniem prawdy każe trzymać mu się ram obrazu realnego, takiego jakim go widział i przeżył.

Zapewne wiele lat będzie musiało upłynąć, zanim czas zatrze ostre kontury przeżytych obrazów i pozwoli na stworzenie wizji całości nie z opisu wiernie po pamiętnikarsku odtworzonych fragmentów.

Tymczasem mamy powieści raczej o charakterze fragmentarycznych reportaży z Powstania Warszawskiego.

Obok najciekawszej bodaj tego rodzaju książki Jerzego Pytlakowskiego — „Powstanie Mokotowskie", należy postawić wydaną ostatnio przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" powieść Jana Dobraczyńskiego pt. „W rozwalonym domu".

Powieść ta daje fragment walk powstańczych na Starówce, zakończonych wycofaniem się przez kanały resztek nie wybitych żołnierzy Powstania. Jako największą wartość książki należy uznać doskonale i prawdziwie odtworzony nastrój walczącej młodzieży. Nie ma w obrazie ich przeżyć żadnej idealizacji, choć mogłoby się tak wydawać komuś, kto z tą młodzieżą nie zetknął się w okresie długich lat wojennych. Wielkość odwagi i determinacji, męstwo przekraczające granice lekkomyślności, dziecinnie rycerska fantazja i nienaturalna powaga stapiały się razem w ogniu walki w amalgamat jedyny i nie-

powtarzalny. Taka to młodzież, może nawet wbrew zamierzeniom autora, jest bohaterem zbiorowym powieści Dobraczyńskiego. Wszystkie inne postacie na tym tle wydają się nikłe i mniej ważne, nawet ksiądz Marek i Magdalena, nawet dowódcy walk jak „Krak" czy Roman.

Przypuszczalnie krytyczny właśnie stosunek autora do sprawców i dowódców Powstania wyraził się w charakterystyce oficerów stojących na czele walk tej wspaniałej młodzieży i bohaterskich dzieci. Zwłaszcza „Krak" zdaje się uosobiać wszystkie zło, całe zakłamanie dowództwa, nieodpowiedzialność ich romantycznych, desperackich gestów.

Najmniej jasną i zrozumiałą postacią jest ksiądz Marek i związana z tą postacią mistyczna nadbudowa powieści. Zwłaszcza zakończenie, ostatnia rozmowa bohaterskiego księdza z Magdaleną nie wydaje się czytelnikowi jasna. Co mianowicie uważa ksiądz Marek za odbudowę przez Magdalenę rozwalonego domu? Czy to, że została z rannymi, że nie odeszła wraz z synem przełazem? Czy uważa to za ekspiację, za winy dowódcy odcinka, poległego męża Magdaleny, Kraka? Nie wiadomo.

Nie to jest jednak w powieści ważne. Ważne jest i na plan pierwszy wysunięte zostało bohaterstwo młodzieży walczącej w Powstaniu.

DOBRY REPORTAŻ

„Powstanie Mokotowskie" Jerzego Pytlakowskiego to nie tylko jedna z tak licznych dziś pozycyj literackich, opartych na wspomnieniach z okupacji, wojny czy powstania. To nie tylko utwór literacki w rodzaju Dobraczyńskiego — „W rozwalonym domu", czy Rusinka — „Z barykady — w dolinę głodu". „Powstanie Mokotowskie", mimo że tak jak wymienione przed chwilą utwory, daje tylko fragment walk powstańczych na wąskim odcinku ograniczonej przestrzeni — jest jednak czymś więcej, bo ujawnia aspekty polityczne powstania warszawskiego jako całości, daje nie tylko opis faktów ale i ich ocenę przez nieprzemilczenie ani przeinaczenie nagiej wymowy wypadków i ich prawdziwego znaczenia.

Toteż nie jest bynajmniej przypadkiem, że właśnie ta skromna opowieść w tak krótkim czasie od ukazania się na rynku księgarskim od razu wywołała sprzeciwy i ostrą krytkę obozu naszej reakcji. Pismo „Dziś i Jutro" wystąpiło z napaścią na książkę i autora, rozpatrując reportaż nie jako utwór literacki, ale jako wystąpienie polityczne. Zamiast krytyki usiłuje zaprzeczać prawdzie opisywanych zdarzeń, zamazać ich sens. Tygodnik „Warszawa" — surowej prawdzie opisywanej rzeczywistości usiłuje przeciwstawić ogólniki i nic nie mówiące przenośnie literackie.

Rzecz ciekawa — dyskusja toczy się jakby na marginesie książki. Nie o książkę bowiem chodzi — chodzi o stosunek do powstania, o ocenę poli-

tyczną historycznego momentu, o krytyczny osąd ideologicznych pobudek i źródeł powstania.

Z dużym umiarem i wyczuciem sprawiedliwości autor, przeprowadzając ostrą tezę krytyczną w stosunku do sprawców i kierowników powstania, potrafił nie dotknąć niczym ani walczących powstańców, ani bohaterskiej postawy mieszkańców stolicy. Cierpienia ludzi w walczącym beznadziejnie mieście oddane są z sugestywną siłą. Opis przejścia przez przełaz z Mokotowa do Śródmieścia należy bodaj do najbardziej wstrząsających opisów w naszej literaturze powojennej.

Oczywiście, że na tym tragicznym tle tym bardziej rażąco i wręcz groteskowo wygląda postawa dowódców odcinka Mokotowskiego. Ich pertraktacje dyplomatyczne z Węgrami, nieodpowiedzialne sobiepaństwo tej samowolnej gry dyplomatycznej wygląda poprostu nieprawdopodobnie i fantastycznie. Niestety jednak jest tylko prawdziwe.

Bo, czytając książkę Jerzego Pytlakowskiego, trzeba pamiętać, że nie jest to powieść, ani nawet opowiadanie, tylko reportaż w sposób realistyczny opisujący przebieg zdarzeń, dający świadectwo o prawdzie tych dni. Dość skąpy w słowach, ale wyraźny w treści komentarz polityczny do opisywanych zdarzeń jest koniecznym uzupełnieniem książki, która, pozbawiona takich wyjaśnień, stałaby się niezrozumiała w swym aż fantastycznym nonsensie.

Reportaż Pytlakowskiego „Powstanie Mokotowskie" jest pozycją wartościową w naszej literaturze z okresu wojny, okupacji, powstania. Stanowi umiejętne połączenie realistycznego opisu, wiernie odtwarzającego wypadki opisywanej rzeczywistości i przeżycia wewnętrzne rzeczywistych ludzi, z takim tych wypadków oświetleniem, które stanowi doskonały komentarz polityczny opisywanych wydarzeń.

Książka Pytlakowskiego nie jest powieścią. Są w niej jednak ustępy, a nawet całe rozdziały, które świadczą o dużych możliwościach autora i każą się spodziewać po nim większych osiągnięć, i to w dziedzinie artystycznej. Prosty, mocny język, umiejętność widzenia rzeczy i ludzi i dania im wyrazu w artystycznej formie — wszystko to zdaje się zapowiadać talent literacki.

Debiut Jerzego Pytlakowskiego należy uznać za debiut udany, i jest zasługą wydawnictwa „Książka", że wydało ten interesujący utwór o powstaniu warszawskim, książkę, która jest więcej niż reportażem: jest promieniem światła rzuconym na mroki spowijające źródła i istotę tego najtragiczniejszego momentu w naszej historii lat ostatniej wojny.

JESZCZE OŚWIĘCIM

Nakładem Kuthana ukazała się książka wieloletniego więźnia obozu w Oświęcimiu, Ludwika Rajewskiego, pod tytułem „Oświęcim w systemie R.S.H.A." (Reichsicherheithauptamt).

Dziwną tę książkę czyta się z wzrastającym wciąż uczuciem zgrozy. Od-

rzuca i bierze na nowo. Ma się pretensję do autora za wielokrotne powtarzanie tych samych scen tortur, tych samych przeżyć, cierpień, męki, śmierci. I dopiero pod koniec książki czytelnik, który ma dość siły charakteru, aby przeczytać ją do końca, rozumie zamierzenia autora i sens tych powtarzających się opisów.

Układ książki jest tego rodzaju, że w relacjach poszczególnych więźniów i więźniarek, w zeznaniach mordercy i protokułach przesłuchań powtarzają się te same fakty, takie same przeżycia, uczucia identyczne, co w pierwszej części książki, w opisie Oświęcimia przez samego autora. Nadaje to książce wartość dokumentu. Przeznaczona jest dla ludzi, którzy nie wierzą w niewiarygodne zaprawdę, a jednak prawdziwe zwyrodniałe okrucieństwo hitlerowców i ich zbrodnie, za które nie ma wystarczającej kary. Przeznaczona więc jest nie dla Polaków, ani dla krajów, które przeżyły okupację niemiecką. Przeznaczona jest dla Anglików i Amerykan, którzy udają, że nie wiedzą o rozmiarach zbrodni niemieckiej, obłudnie grając rolę tych, którzy w nią nie wierzą.

I dlatego książka Rajewskiego o Oświęcimiu powinna się była ukazać raczej w języku angielskim niż polskim.

Dla czytelnika polskiego, który, już tyle wie o Oświęcimiu z relacji ustnych, z pism i książek takich jak Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau" i innych, nie przynosi może nic nowego zasadniczo, pomnaża jednak wiedzę o męczeństwie więźniarek i więźniów o mnóstwo szczegółów, o wiele drobiazgów, które składały się na system udręczeń stosowanych przez Niemców w obozach.

Można się oczywiście zastanawiać nad tym, czy pomnażanie tej naszej wiedzy jest nam jeszcze potrzebne? Czy nie za bardzo i nazbyt długo tkwimy pamięcią i myślą w tych sprawach? Czy opis scen sadystycznych nie wyzwala sadyzmu? Można takie i inne pytania postawić. Zresztą widać, że i sam autor przewidywał takie pytania, żywił nawet może podobne wątpliwości. W zakończeniu bowiem czytamy: „Skończyło się panowanie R.S.H.A — czas idzie nieubłaganie naprzód. Zabliźniają się rany, zadawane przez tyle lat. Czy powinny się zabliźnić? Raczej należałoby je rozrywać, by jak mówi Żeromski: „nie porosły błoną podłości". Nie po to cierpieliśmy, aby zapomnieć teraz o naszym odwiecznym wrogu, który „pragnie się dziś zjednoczyć dla wielkiego odrodzenia Niemiec i wytępienia hitleryzmu".

Oto cel napisania tej książki, wyraźnie sformułowany przez samego autora. Nie trzeba się więc dziwić, że książka nie ma żadnych założeń artystycznych. Nawet wiersze w niej umieszczone mają charakter dokumentów. Najpoważniejszymi jednak dokumentami są nie zeznania ofiar, ale zbrodniarza, które całkowicie potwierdzają winę niemieckich oprawców i prawdę zeznań więźniów. Z protokułów zeznań Ziereisa, jak również z zeznań więźniów, można zestawić długą listę nazwisk masowych zbrodniarzy i zbrodniarek niemieckich. Nie potrzebny byłby w stosunku do nich długi przewód sądowy — dowody ich winy zebrane w książce Rajewskiego są zupełnie wystarczające. I ta właśnie dokumentarność książki nadaje jej wartość i znaczenie zupełnie specjalne.

WIERSZE O OBLĘŻONEJ WARSZAWIE

Ukazał się w druku tomik wierszy Hanny Mortkowicz-Olczakowej pt. „Jesień niezapomniana", cały poświęcony pamiętnym tygodniom oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku. Rzecz ciekawa, że zbiór liryk zdołał bardziej i wierniej odtworzyć nastrój tamtych dni, niż pamiętniki i reportaże, podające szeregi prawdziwych faktów. mnóstwo zaobserwowanych lub przeżytych szczegółów, zajść, wypadków.

Te wiersze, pozbawione wątku fabułowego, dają pełniejszy obraz nie tylko wewnętrznych przeżyć ludzi tego czasu, ale nawet, przez te wewnętrzne przeżycia, wywołują w pamięci czytelnika i stawiają mu przed oczy wypadki tamtych dni. Dzieje się to dzięki wierności w odtwarzaniu nastroju, w jakim żyli wtedy ludzie.

Autorka nie opisuje nastrojów wyjątkowych, skomplikowanych natur. Nie wczuwa się i nie interesuje niezwykłymi przeżyciami. Odtwarza nastroje przeciętnych ludzi, nastrój powszedniego i przez to powszechnego odczuwania grozy wojny, bombardowania, odwagę i determinację ludności stolicy, tragiczne rozczarowanie, związane z upadkiem złudzeń w stosunku do rządu, rozpacz kapitulacji i klęski.

Godzina po godzinie, dzień po dniu staje przed nami ów czas, tak jakeśmy go wszyscy przeżywali i odczuwali. Toteż na pewno prawie wszyscy czytelnicy odnajdą w tym zbiorze liryk własne uczucia i myśli. I w tym znaczeniu niewątpliwie jest to książka dla mas, dla wszystkich.

Ocena wartości wierszy od strony artystycznej, zresztą zupełnie dodatnia, jest tu więc sprawą o wiele mniej ważną wobec jej znaczenia społecznego, które tkwi właśnie w stwierdzeniu, że jest to książka w najszerszym pojęciu dla wszystkich.

„Jesień niezapomniana" nie jest lirycznym pamiętnikiem samej autorki, ale pamiętnikiem tych wszystkich, którzy tę jesień niezapomnianą przeżyli w oblężonej Warszawie. I w tym tkwi jej wartość.

Cz. W.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI
MARSZAŁKOWSKA 6
(parter, poprzeczna oficyna)

Redakcja przyjmuje we wtorki od 16 — 18

Wydawca: **Zespół „Lewy Tor"**
Redaguje: **Zespół literacki „Lewy Tor"**

Nr. 1068 — Graf. Spółdz. Pracy „Grochów", Grochowska 194. — B-14706

71